

Rok XXVI

Nr e-72 (268)

Październik 2012

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



Z NASZEGO REGIONU

Podkarkonoski Staniszów (2)	<i>Karolina Kasperkiewicz</i>	3
Na Bobrowe Skały	<i>Krzysztof Tęcza</i>	6
Gdzie jest grób św. Elżbiety Węgierskiej?	<i>Stanisław Dziuba</i>	8
Turysta na wrocławskim blokowisku	<i>Waldemar Jankowski</i>	10

OJCZYSTE SZLAKI

Na sądeckich szlakach i w schroniskach	<i>Juliusz Wystouch</i>	12
--	-------------------------------	----

TRASA MIESIĄCA

Nietypowa trasa do źródeł Nysy Kłodzkiej	<i>Bartosz Skowroński</i>	15
--	---------------------------------	----

GLOBTROTER

Kampania – malowniczy region Włoch (2)	<i>Joanna Ślesińska</i>	18
Karakorum – co z niego zostało?	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	20
Oddział Wrocławski PTTK zaprasza na prelekcje		21
Oranienbaum	<i>Janusz Fuksa</i>	22

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Wycieczka na Ukrainę	<i>Dorota Stankiewicz</i>	24
Stąd... do Słowianki	<i>Juliusz Wystouch</i>	25
Siwy i jego drużyna	<i>Juliusz Wystouch</i>	26
Księstwo Świdnicko-Jaworskie zaprasza	<i>LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”</i> ...	27

EKOLOGIA NA SZLAKU

Czy klimat nam się zmienia?	<i>Anna Oryńska</i>	28
-----------------------------------	---------------------------	----

PORADNIK TURYSTY

Ech, te dzieci	<i>Juliusz Wystouch</i>	30
----------------------	-------------------------------	----

NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU

Biuletyn nr 2 PKK	<i>H.P.</i>	33
-------------------------	-------------------	----

RECENZJE, NOWOŚCI

Reprint orłowiczowski	<i>Janusz Zaremba</i>	35
Przewodnik archeologiczny po Polsce	<i>Przemysław Pilich</i>	37

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Hop, szklanka piwa dla krajoznawców	<i>Tomasz Kowalik</i>	38
Tatry, Góra Kapliczna, Szaniec Szwedzki	<i>Andrzej Rumiński</i>	40
Gołoborze	<i>Ks. Józef Biela</i>	41
I Igrzyska Turystyczne 111 – podsumowanie	<i>„Czerwony Kozioł”</i>	42

Na okładce: Beskid Śląski równie atrakcyjny dla dzieci jak Tatry. Fot.: Juliusz Wystouch

PODKARKONOSKI STANISZÓW (2)

Kościół p.w. Przemienienia Pańskiego

„Kościół tutejszy jest prastary, datowany na 1023 r. prawdopodobnie jest jednym z pierwszych katolickich kościołów na Śląsku. Jednak jego powstanie jak i proces chrystianizacji tej prowincji ginie w mrokach historii”. – tak pisał ks. pastor Prox. Oczywiście, jeśli istniały jakieś wzmianki o istnieniu kościoła w Staniszowie w tak zamierzchłych czasach, to śladów tamtej budowli, prawdopodobnie drewnianej, próżno doszukiwać się w dzisiejszym kształcie świątyni. Być może, iż jakaś forma Domu Bożego w miejscu dzisiejszego kościółka istniała już wówczas, lecz nie ma na to żadnego wiarygodnego dowodu. Pierwszy pisany dowód na istnienie staniszowskiego kościoła pochodzi z rejestrów biskupich z 1338 r. Musiała więc być to świątynia, na zrębach której wybudowano późniejszą, z końca XVI w., której forma z niewielkimi zmianami zachowała się do dzisiaj. „Kościół jest wystarczająco duży, może pomieścić wielu wiernych, tylko żeby ktokolwiek chciał się w nim modlić! Nie do wiary, ale wszyscy mieszkańcy to niewierzący (czyt. protestanci – przyp. autora). Tabernakulum, do przechowywania Najświętszego Sakramentu, jest pięknie ozdobione piaskowcem, dwa ołtarze, jeden kamienny, drugi drewniany, zbudowany przez luteran, zakrycia dość ciasna, ale posiadająca piękne sklepienie. Chrzcielnica drewniana, ale bez wody. Stosowna ambona. Epitafia, pochodzące z 1400 r., z pewnością wykonane rękami katolików. Wieża kamienna, górna część drewniana. Podwórze kościelne ciasne, na nim bardzo dużo kamiennych nagrobków. Kościół nie ma patrona. Plebania stoi w pewnym odstępie. Jest to piętrowy, drewniany dom. Obok niego mała stodoła”.

Obecnie kościół to murowana budowla jednonawowa z węższym, wydzielonym prostokątnym prezbiterium. Nawa przekryta jest drewnianym stropem, prezbiterium – sklepieniem krzyżowo-żebrowym. Dach dwuspadowy kryty łupkiem. Tak samo kryte są daszki nad kruchtą, zakrystią oraz przyporami. Portale kamienne gotyckie i renesansowe. Na osi wznosi się smukła wieża zegarowa na planie kwadratu, dołem oszkarpowana, zwieńczona ośmiobocznym cebulastym hełmem, również krytym łupkiem. Na hełmie umieszczono chorągiewkę z datą 1784. Ponad tarczami zegarowymi widnieją ostrołukowe okna w rozglifionych kamiennych opaskach. Główne wejście prowadzi przez gotycki portal w wieży. Nietypowym jest natomiast, że do kościoła trzeba schodzić w dół. Wnętrze oświetlają niejednorodne pod względem stylu i wielkości okna – od prostokątnych poprzez ostrołukowe do zamkniętych łukiem odcinkowym i pełnym. Część otworów okiennych posiada rozwidlenia. Drewniany, polichromowany i złożony ołtarz powstał w XVIII w. Zachowały się również nieliczne przyrządy kościelne z XVIII-XIX w. Na wieży znajdowały się trzy dzwony, z których do dziś został się jeden, większy, o średnicy 108 cm. Na dzwonie tym znajduje się inskrypcja: RUF MICH AN IN ZEID DER NOCH SPRICHT DER HER SO WIL ICH DICH



ERETEN UND DU SOLT MICH PREISEN. 1593. Oprócz inskrypcji na zewnętrznej ścianie dzwonu widnieje Chrystus Ukrzyżowany, a pod krzyżem stoją dwie postacie: Matka Boża i święty Piotr. Na samej górze dzwonu wykonano dookólny fryz o tematyce myśliwskiej, przedstawiający konnego rycerza w zbroi, polującego wraz z psami na jelenia. Właśnie ta myśliwska tematyka fryzu na kościelnym dzwonie intryguje i zaciekawia. Na drugim mniejszym dzwonie zaś było: Anno Domini 1597. VERBUM DOMINI MANET IN ETERNUM. Ten dzwon został prawdopodobnie w czasie II wojny światowej zdjęty i przetopiony. Z tych dwóch dzwonów, większy do dziś wzywa na mszę, choć ma już 419 lat.

Kościół otoczony jest kamiennym murem cmentarnym z neogotycką bramą i gotycko-renesansowym portalem w kształcie trójliścia ściętego. W obu mieszczą się neogotyckie ozdobne kraty. W przyporach wzmacniających prezbiterium umocowano renesansowe epitafia (XVI w.). W kruchcie wieży widać piaskowcowe epitafium córki von Zedlitzów. Kościół ten ma niezwykle ciekawą historię. Wielokrotnie w ciągu wieków przechodził z rąk do rąk pomiędzy katolikami i ewangelikami, a przez ostatnie sto lat przed 1945 r. służył obu wyznaniom. Jego dokładnych dziejów nikt nie jest w stanie dzisiaj odtworzyć. Wiąże się one jednak nierozdzielnie z procesem ewangelizacji Śląska, ze społecznością katolicką i ewangelicką, polską, niemiecką i czeską.



Płyta nagrobna z XVI w.

Pałac dolny

Obiekt ten, często nazywany pałacem hrabiowskim, mieści się w Stanisławowie Dolnym przy drodze Jelenia Góra – Sosnówka. Wybudowano go w 1787 r. i przebudowano pod koniec XIX w. Jest to budynek dwutraktowy, dwukondygnacyjny z zagospodarowanym poddaszem użytkowym. Nakryty został czterospadowym dachem z lukarnami i powiekami. Fasadę zdobi pseudoryzalit, zwieńczony fantazyjnym szczytem. Taras przed wejściem wsparty jest na pseudodoryckich kolumnach. Wszystkie ozdoby są skromne, np. portal i kartusz herbowy. Okna i drzwi opasano prostokątnym i zamkniętym łukiem odcinkowym. Elewacja dzielona jest płaskimi lizenami w tynku. Za pałacem mieszczą się zabudowy folwarczne z XIX w., ustawione klasycznie w czworobok. Przed i za pałacem są zarastające stawy, niegdyś hodowlane. Na brzegach rosną pomnikowe drzewa. Są one pozostałością przypałacowego parku krajobrazowego o powierzchni 1,4 ha i założonego na początku XIX w.

Pałac rodu von Reuss

Pałac „górný” został zbudowany w latach 1784-1787 z inicjatywy Henryka XXXVIII jako okazałą rezydencję barokowo-klasycystyczną. W 1887 r. dobudowano skrzydło wschodnie. Bryła pałacu osadzona jest na planie prostokąta z ryzalitami z niewielkim dziedzińcem od strony ogrodu. Zachowały się kamienne portale, opaski okienne, kartusz herbowy. To budowla dwukondygnacyjna, trzytraktowa, nakryta czterospadowym dachem z lukarnami. Część pomieszczeń ma sklepienia nieckowe, krzyżowe lub kolebkowe. Przed wejściami są niewielkie tarasy z kamiennymi schodami. Pałacem tym i włością zachwycała się i opisała w swoim pamiętniku księżna Izabela Czartoryska, podróżująca na kurację do Cieplić w 1816 r. Pod koniec XVIII w. przed pałacem założono ogrody, a także malowniczy angielski park krajobrazowy z rozległą polaną widokową, zespołem ozdobnych stawów i bogatym drzewostanem. Jest to jeden z najstarszych parków angielskich na Śląsku. Projektant obmyślił go tak, aby krajobraz sztuczny przenikał się niezauważenie z krajobrazem naturalnym.

Pałac był po 1945 r. ośrodkiem szkoleniowym Ochotniczej Straży Pożarnej, Domem Wczasów Dziecięcych, potem przejęła go Akademia Ekonomiczna we Wrocławiu. Wydawało się, że pałac podzieli los licznych zabytków, które nie doczekają się kolejnego renesansu. Zdarzył się jednak przypadek, że znalazł się gospodarz, który z pieczołowitością od października 2000 r. przerwał tę niekorzystną passę. Dzisiaj, po kilkunastu latach gospodarowania przez Wacława Dzidę, pachnie w nim różami. Woń niesie się nie tylko z różanych parterów w parku, ale i z bukietów, które zdobią wnętrza pałacu zamienionego na hotel z restauracją na wzór hiszpańskich paradorów. Za pałacem jest rozległy odświeżony, wypielęgnowany park krajobrazowy, łączący się z okolicznymi lasami. Zachował on pierwotny układ z dwoma stawami, tarasami i skałkami. Rosną w nim liczne okazy rodzimych i obcego pochodzenia drzew. Wiele z nich jest pomnikami przyrody. Właściciel twierdzi, że „najważniejsze, żeby to żyło – byli ludzie, a stara architektura inspirowała”. Wyraża nadzieję, że „może jeleniogórzanie znowu zaczną przyjeżdżać do parku na letnie koncerty”.

Gospoda

W samym centrum wsi stoi dawna gospoda (nr 68), niesłusznie nazywana czasami dworem środkowym. Oprócz samej gospody założenie obejmuje także rozległą zabudowę nieistniejącego już browaru i wytwórni likierów, przylegające z tyłu, od strony kościoła. Jest to trójczłonowa budowla dwukondygnacyjna z korpusem pięcioosiowym, nakrytym czterospadowym dachem mansardowym z lukarnami. Trzyosiowy, płaski ryzalit wejściowy z tarasem nad parterem, podtrzymywany jest przez cztery kolumny pseudodoryckie, pod którym prowadziło wejście do sali restauracyjnej. Sklepienie jest kolebkowe i krzyżowe. Z obu stron stoją symetrycznie dobudowane parterowe skrzydła, nakryte naczółkowym dachem łamanym, z poddaszem użytkowym. Z tyłu, oprócz przebudowanych i zagospodarowanych dziś pomieszczeń, można dostrzec pozostałości po ogrodzie i stawie. Gospoda słynęła z wytwórni wódek i likierów Ch. G. Koernera, wcześniej pracującego jako piwowar w dworskim browarze. Wobec wzrostu produkcji i zbytu likieru Koerner wydzierżawił książejący browar z gorzelnią i gospodą, co pozwoliło mu na znaczny rozwój wytwórni tego likieru i innych napojów alkoholowych, a także piwa „Stonsdorfer Bier”.

Krzyż pokutny

Zachował się też charakterystyczny dla śląskiego krajobrazu – pomnik dawnego prawa i obyczaju. Krzyże pokutne były najczęściej ciosane z piaskowca lub granitu, miały różną formę i wielkość, stoją przy drogach lub są ukryte głęboko w lasach i trudno dostępnych miejscach. Są niekiedy specyficznymi pomnikami średniowiecznego prawa, kamiennymi dowodami popełnionych zbrodni. Krzyż pokutny w Stanisławowie ma wymiary 107 x 76 x 26 cm. Umieszczono go na krawędzi skalistej skarpy, wysoko nad drogą, naprzeciwko domu nr 54. Od strony drogi posiada nietypowy, wypukły ryt włóczni i nożyc do strzyżenia owiec.

Koniec

Karolina Kasperkiewicz

Foto: Krzysztof R. Mazurski



ul. Szczytnicka 30
50 - 382 Wrocław

HARD COPY
PRACOWNIA DRUKU I REKLAMY

telefon: +48 607 267 988
e-mail: biuro@hardcopy.pl
<http://www.hardcopy.pl>

- Wydruki czarno-białe/kolorowe A4-A0+ (papier zwykły, powlekany, foto, kalka)
- Ksero czarno-białe/kolorowe A4-A0+
- Skanowanie czarno-białe/kolorowe A4-A0+
- Wydruki na płótnie (CANVAS)
- Wydruki posterów, plasz dyplomowych w najwyższej jakości, rysunków CAD
- Oprawa dokumentacji projektowych, prac dyplomowych, magisterskich, licencjackich
- Bindowanie, laminowanie
- Wycinanie ploterem liter i grafiki z folii samoprzylepnych
- Nadruki termotransferowe na koszulkach i odzieży reklamowej, haft komputerowy
- Druk solwentowy - dostępny po indywidualnej wycenie
- Produkcja materiałów reklamowych: roll up, plansze, szyldy, oklejanie witryny
- Produkcja gadżetów reklamowych, grawerowanie w szkle
- Druk ulotek, katalogów, folderów, plakatów

Na Bobrowe Skały

Co prawda, już wieczorem dnia poprzedniego zapowiadano deszcz, ale rano nie padało. Wyruszyliśmy zatem w niedzielę 15 maja br. pociągiem do Rybnicy, na trasę 12. wycieczki Rajdu na Raty, organizowanego już od czterdziestu lat przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Było nas dwadzieścia osób i pies, a właściwie suka Luna. Młoda, bo mająca dopiero cztery miesiące, ale już po raz drugi na trasie.

Rybnica to stara wieś o charakterze rolniczym, mająca jednak w swojej historii okres, kiedy była znaczącym ośrodkiem tkactwa. Działo tu ponad czterdzieści warsztatów. Zaczęło się od opanowania sztuki tkania cienkich woali przez Salomona Wolfa. Ze smutniejszych faktów jest ten, iż pod koniec II wojny światowej wiodła tędy trasa „Marszu śmierci”. Pędzono wtedy więźniów z obozu pracy do zakładów znanych jako późniejsza „Celwiskoza”. W okolicach Rybnicy zginęło ponad pięćdziesiąt osób. Ich zwłoki zostały później ekshumowane i pochowane na cmentarzu w Jeleniej Górze. Pierwszym celem był oczywiście kościół św. Katarzyny. Nie udało się wejść do środka, gdyż ksiądz zaczął już wprowadzenie dzieci przystępujących do pierwszej komunii. Jednak w ścianie na wprost ołtarza znajduje się okno, przez które widać całe wnętrze. Ciekawa jest tutaj kwadratowa czterokondygnacyjna wieża z drewnianą nadbudówką, z galerią i ośmiobocznym hełmem z prześwitem. Niestety, nie można tam wchodzić, by podziwiać widoki. Kilka lat temu cieśle wzmacniali konstrukcję tej wieży, by odsunąć moment jej zawalenia. Jednak w przyszłości trzeba będzie przeprowadzić większe prace remontowe.

Na sąsiednim wzgórzu, przed cmentarzem, zamontowano na pomniku poległych w I wojnie światowej ciekawą tablicę. Oto tekst umieszczony na niej: *Pamięci zmarłym dawniej niemieckiej Gminy Rybnica, którzy odpoczywają na cmentarzu obydwóch wyznań chrześcijańskich.* W ostatnich latach spotykamy coraz więcej takich tablic. Nareszcie dociera do wszystkich, że nie można odcinać się od



**Wieża kościoła św. Katarzyny
w Rybnicy**

przeszłości. Że nawet, jeśli ziemie te zamieszkiwane były przez ludzi innej narodowości czy innego wyznania, to ludzie ci mieszkali tutaj, żyli i pracowali na tej ziemi i dla tej ziemi. I zasługują oni, tak jak i obecni mieszkańcy tych terenów, na pamięć i szacunek należny zmarłym. I nie może to wynikać oczywiście tylko z faktu, że ludzie ci już odeszli. Po prostu taka jest kolej rzeczy, a każdy szanujący się naród będzie szanował poprzednie pokolenia, bez których nie byłoby tego, co mamy dzisiaj.

Po chwili docieramy do pięknie utrzymanego stadionu, na którym gra miejscowy zespół piłkarski „Juvenia”. W 2010 r. zajął on II miejsce w klasie B. Tuż za torami kolejowymi, pod którymi przeszliśmy tunelem, widzimy po lewej stronie zabudowania gospodarcze dawnego majątku ziemskiego, natomiast po prawej ładny XIX-wieczny budynek zarządcy majątku. Obecnie to własność prywatna, na zamek musimy podejść od strony stawów, co nie jest ani łatwe ani bezpieczne. Od razu widać, że od tej strony niemożliwe było jego zdobycie. Zwłaszcza, że wzgórze opływa Młynówka, która na pewno była kiedyś wykorzystywana jako element obronny. Dzisiaj wzgórze zamkowe porasta las. Częściowo jest to pozostałość utworzonego tutaj hektarowego założenia parkowego, częściowo wynik zarastania opuszczonego miejsca. Wynika to choćby z faktu tłumaczenia niemieckiej nazwy *Lysa Góra*. Ruiny nie są widoczne z drogi, dobrze się więc stało, że postawiono tablicę informacyjną. Każdy przechodzący tędy turysta zaraz zaczyna szukać



**Ołtarz w kościele św. Barbary
w Wojcieszycach**

warowni i z reguły ją znajduje. Idąc dalej zaczęliśmy piąć się pod górę. Niebawem napotkaliśmy wiele powalonych i połamanych drzew, głównie brzoź. Jest to pozostałość po niespodziewanych opadach śniegu, jakie miały miejsce 3. maja zeszłego roku. Padający wówczas mokry śnieg był tak ciężki, że dokonał dużych zniszczeń w drzewostanie.

Wkrótce zza drzew wyłoniła się ciekawa budowla z wieżą o dziwnym kształcie hełmu. Po bliższym podejściu widać już było doskonale jego baniaste kształty. Budowla, którą ujrzeliśmy, to kościół św. Barbary, chociaż na chorągiewce można odczytać: św. Maria, św. Barbara, św. Nicolai 1772. Samo usytuowanie tej świątyni, wraz z cmentarzem oraz prawie stuletnią plebanią, wpływa na nastrój. Wyczuwa się tutaj naturalny spokój. Jednak warto, nawet jeśli kościół jest zamknięty, poprosić o otwarcie go. W ołtarzu umieszczono obraz przedstawiający męczeństwo św. Barbary. Gdy dobrze rozejrzemy się, odkryjemy, ustawioną co prawda na widoku, ale jednak stojącą jakby nie tym bokiem do ludzi, co powinna, kamienną chrzcielnicę. Rzeźby, podtrzymujące misę na wodę, są niesamowite. Najpiękniejszy jest ołtarz. To prawdziwe dzieło sztuki. Szkoda tylko, że czynione od lat starania o pozyskanie funduszy na jego remont nie mogą przynieść rezultatów. Od proboszcza dowiedzieliśmy się, że w zeszłym roku jeden z mieszkańców, tzw. złota rączka, poświęcając ponad trzydzieści godzin pracy, naprawił umieszczony na wieży jeden z pierwszych zegarów bijących. Jest tu, co prawda, tylko jedna wskazówka, ale o każ-

dej godzinie następują dwa uderzenia. Nakręcany jest on w soboty, tak by wierni mogli go słyszeć przez całą niedzielę. Jedno nakręcenie wystarcza na 26 godz. pracy zegara. Same Wojcieszycy przez krótki czas po ostatniej wojnie nosiły nazwę Ptaszyn. Jednak nie trwało to zbyt długo. Ponoć kiedyś był tu browar produkujący wyśmienite piwo. Skutkowało to przybywaniem wielu kuracjuszy z pobliskich Cieplic. Niestety, nie możemy tego samego powiedzieć dzisiaj. Z ciekawszych wydarzeń społecznych jest fakt zakopania kapsuły czasu przy okazji obchodów 65-lecia szkoły w marcu 2011 r.

Ruszyliśmy pod kolejną górę i polnymi ścieżkami dotarliśmy do Zimnej Przełęczy. Dlaczego taka nazwa, nietrudno się domyśleć. Po drodze upajaliśmy się wspaniałymi widokami na całe Karkonosze. Widać było zamek Chojnik, jednak od tej najstromej strony. Pozostało już tylko ostatnie

podejście do Bobrowych Skał. Muszę stwierdzić, że tym razem nieźle się zasapaliśmy, a i pot nie był nam obcy. Nawet wdrapaliśmy się, po zamontowanych tu kiedyś schodkach, na skałę, z której mieliśmy dobre widoki. Bobrowe Skały, mimo iż odkryte dla turystyki zostały znacznie później niż pozostałe atrakcje gór otaczających



Uczestnicy na Bobrowych Skałach

kurort cieplicki, szybko stały się ulubionym miejscem dla kuracjuszy. Jednak nie była to turystyka taka, jaką uprawiamy dzisiaj. W Piastowie mieszkali lektykarze, którzy za 1 talara wnosili „turystę” pod same skały. Mało tego, w tamtych czasach można było zjeść i przenocować w istniejącej gospodzie. Były w niej cztery pokoje gościnne z siedmioma łózkami. *Full* wypas. A dzisiaj co? Ano nic. Jak sami nie wejdziemy i jak sami sobie nie przyniesiemy jedzonka, to bieda. Jedyne jest tutaj przygotowane miejsce pod ognisko i kilka ławeczek. Początkowo także mieliśmy zamiar upiec kiełbaski dźwigane z takim trudem, ale, niestety, czas jest nieubłagany i ze względu na małą jego ilość dzielącą nas od autobusu zrezygnowaliśmy z tego i ruszyliśmy do Górzyńca. Co ciekawe, to mimo dużego już zmęczenia większość uczestników wycieczki, mając w perspektywie dodatkowych kilka kilometrów, które trzeba by było zrobić do Piechowic, poczuła taki przypływ sił, że nawet prowadzący trasę autor tych słów miał problemy, aby za nimi nadążyć.

Krzysztof Tęcza

Gdzie jest grób św. Elżbiety Węgierskiej ?

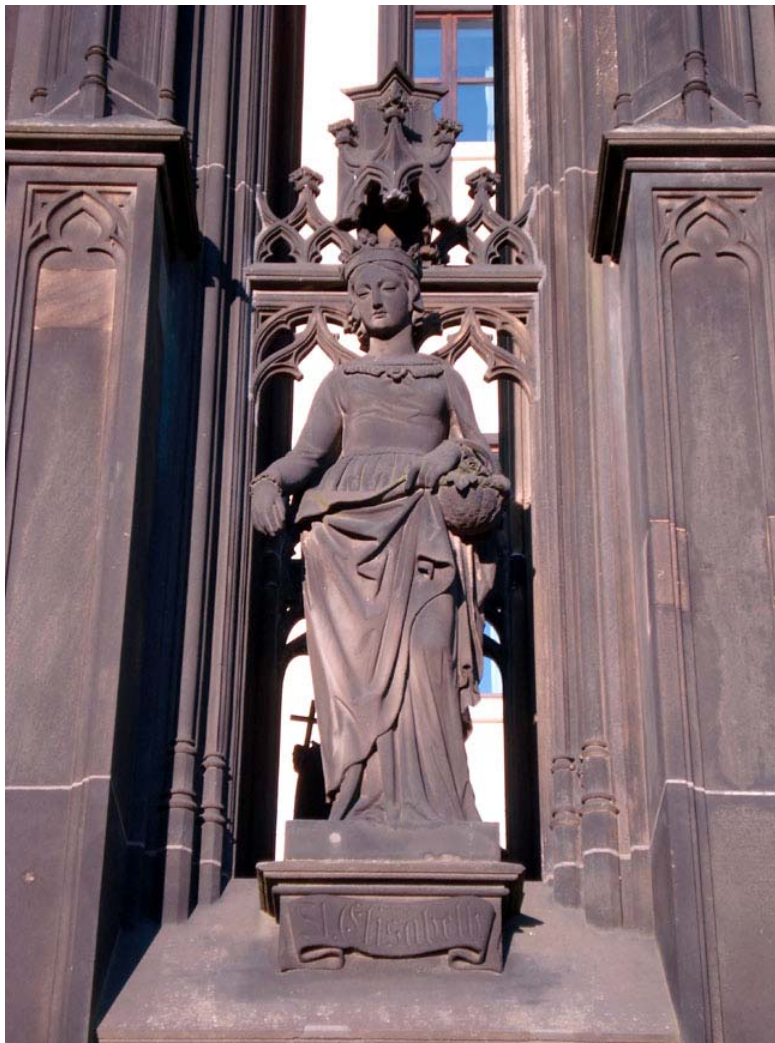
Jako że jest sporo niejasności czy nawet błędnych informacji na temat grobu św. Elżbiety, odbyłem wiele rozmów z wrocławskimi elżbietankami (które były na pielgrzymce w Marburgu) i dyrektorem Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu, ks. dr. Andrzejem Nowobilskim, by sprawę wyjaśnić. Zapoznałem się również z bogatą literaturą na temat św. Elżbiety.

Nie będę tu przedstawiał życiorysu tej Świętej, który zapewne dobrze znany jest czytelnikom. Zwrócę tylko uwagę na fakt, że z powodu swych czynów była ona dość popularna powszechnie już za ziemskiego życia. Wynikało to z faktu, że przez całe życie św. Elżbieta ze wszystkich sił realizowała przykazanie Chrystusa „*abyście się wzajemnie miłowali*” (J 15, 12), które jest najważniejszym wezwaniem Ewangelii. Elżbieta była wzorową żoną. Towarzyszyła mężowi wszędzie, jeździła z nim konno, razem z nim spożywała posiłki, czule go żegnała, gdy wyruszał na krucjatę.

Elżbieta Węgierska wiele czasu spędzała na modlitwie, pokucie i miłosiernych uczynkach, zarówno jako księżna na zamku w Wartburgu czy jako wdowa, początkowo w Eisenach, a potem do ostatnich chwil swojego życia w Marburgu. Już w Wartburgu ufundowała szpital dla czternastu potrzebujących. Tu, gdy klęski żywiołowe, takie jak susza, powódzie czy zarazy dotknęły ludność Turyngii, kazała otworzyć książęce spichrze i rozdać ziarno głodującym. Pod Jej nadzorem pieczono na zamku chleb i rozdawano głodnym. Powszechnie znany jest cud z różami. Gdy wносиła z książęcego domu chleb ubogim, w trakcie kontroli dokonanej przez męża, chleb w cudowny sposób zamienił się w różę. W założonym przez siebie, z własnych funduszy, szpitalu w Marburgu sama, osobiście opiekowała się chorymi. Opieką otaczała biednych, głodnych, a szczególnie trędowatych i kalekich. Ostatnie lata spędziła w głębokiej pobożności i skrajnym ubóstwie.

Nic więc dziwnego, że cztery lata po jej śmierci, w nocy 16/17.11.1231 r., już w 1235 r. papież Grzegorz IX ogłosił Elżbietę świętą. Do jej grobu przybywały liczne pielgrzymki. Był nawet sam cesarz Fryderyk II, który ufundował wspaniały relikwiarz, gdzie umieszczono głowę Świętej. Początkowo pochowano św. Elżbietę w kaplicy szpitalnej w Marburgu. Jej szwagier – Konrad z Turyngii, ufundował klasztor Zakonowi Krzyżackiemu. Zakon ten zbudował kościół, który jest pierwszym gotyckim kościołem w Niemczech. Tu przed ołtarzem głównym powstał wspaniały grobowiec, gdzie





Św. Elżbieta Węgierska na Cholerabrunnen (fontanna na pamiątkę epidemii cholery) w Dreźnie

zawartość usunięta. Nikt nie wie, co się z stało z doczesnymi szczątkami św. Elżbiety. Być może zostały zakopane w podziemiach kościoła w Marburgu.

Kult św. Elżbiety odrodził się w XIX w., kiedy w Nysie (a wcześniej, w 1736 r. w Cieszynie) nowopowstały żeński zakon przybrał św. Elżbietę za swoją patronkę. Elizabeth to imię spotykane już w Biblii i jest pochodzenia hebrajskiego. Składa się z słów *Eli* – co oznacza mój Bóg, i *sibeach* - co oznacza siedem – będącą liczbą pełni, stąd *Elizabeth* znaczy „mój Bóg jest pełnią”. Wspaniała kaplica, o wystroju barokowym z rzeźbami wykonanymi w Rzymie w szkole Berniniego, powstała z fundacji kardynała Fryderyka heskiego w ambicje wrocławskiej katedry. Znany m.in. z wystroju bazyliki mariackiej na Jasnej Górze czy wystroju Auli Leopoldyńskiej we wrocławskim Uniwersytecie rzeźbiarz Franciszek Mangoldt jest autorem wspaniałego barokowego posągu św. Elżbiety w bazylice trzebnickiej.

Odpowiedź na postawione w tytule artykułu pytanie brzmi: NIE MA GROBU ŚW. ELŻBIETY WĘGERSKIEJ. W MARBURGU JEST TYLKO PUSTY SARKOFAG. Nie ma też grobu Świętej na zamku Wartburg w Turynii. Natomiast relikwie Świętej są w wielu miejscach, m.in. kościele św. Elżbiety w Wiedniu. Są również w domach elżbietanek we Wrocławiu, Katowicach, Nysie, Warszawie i Toruniu. Mają je zapewne franciszkanie w Vitebro, skąd trafiły do Trybsza, gdzie odpust jest w dniu 17. listopada, tj. w dniu Jej śmierci. Protestanci św. Elżbietę wspominają w dniu pogrzebu, czyli dwa dni później. Dla współczesnych ludzi nie jest najważniejsze, gdzie znajduje się grób św. Elżbiety Węgierskiej. Najważniejsze dla nas jest Jej posłanie: służyć bliźniemu, nieść pomoc potrzebującym, szerzyć miłość.

Stanisław Dziuba

Turysta na wrocławskim blokowisku

Spadkiem po czterdziestu latach Polski Ludowej są bloki z wielkiej płyty, które zdominowały krajobraz naszych miast i jeszcze długo będą wyróżniającym się elementem ich przestrzeni. Realizowana metodami przemysłowymi zabudowa wielorodzinna przytłacza monotonią kształtów, kompletnym brakiem ornamentyki lub jakiegokolwiek urozmaicenia bryły. Tak zaprojektowane osiedla mieszkaniowe bardziej przypominają gigantyczne obozowiska pełne bezosobowych baraków niż choćby średniej klasy zamysły architektoniczne. Jednak nawet tam uważny krajoznawca może odnaleźć ciekawostki i nietuzinkowe pomysły projektantów. Tym bardziej są one godne uwagi, że zrealizowano je w czasach, gdy oryginalność nie była w cenie. Przekonanie organów decyzyjnych do niestandardowych projektów i stworzenie sprzyjającej atmosfery społecznej do ich sfinansowania wymagało zapewne sporego wysiłku od pomysłodawców.

Ciekawe przykłady takiej zabudowy można spotkać we Wrocławiu. Przy pl. Grunwaldzkim powstało osiedle mieszkaniowe, składające się z bloków, które z czasem, ze względu na charakterystyczny, owalny kształt balkonów, zyskały niechlubną nazwę „sedesowców”. Początkowo planowano je zbudować z białego betonu, a w bryłę miała być wkomponowana zielen i elementy drewniane. Koszty realizacji takiego założenia przełożyły jednak możliwości ówczesnej gospodarki. Projekt, mimo że urealniony ręką księgowego, okazał

się ostatecznie znakomitym nawiązaniem do brutalizmu, stylu, który w Polsce prawie nie zaistniał. Architektura brutalistyczna, z francuskiego *beton brut*, czyli surowy beton, wykorzystywała ten surowiec jako środek ekspresji. Był więc nie tylko elementem konstrukcyjnym, lecz także akcentem estetycznym. Często w stylu brutalistycznym budowano całe sieci urbanistyczne. Potężna bryła, masywna, przytłaczająca konstrukcja, a przede wszystkim zupełnie nieludzkie proporcje tej architektury

Sedesowce

spowodowały, że brutalizm pozostał tylko ślepym zaułkiem w trendach architektonicznych. Dziś ciekawsze przykłady otacza się ochroną konserwatorską, a pozostałe burzy, tworząc miejsce pod bardziej przyjazną zabudowę. Wrocławskie „sedesowce” są największym i najciekawszym w Polsce przykładem brutalizmu. Oprócz nich można jeszcze wymienić Bunkier Sztuki w Krakowie lub nieistniejący już budynek dworca kolejowego w Katowicach.

Innym ciekawym przykładem światowych trendów architektonicznych we wrocławskim budownictwie wielkopłytowym okresu PRL jest mezonetowiec, znajdujący się przy ul.



Mezonetowiec

Kołątaja. Nazwa pochodzi również z języka francuskiego, w którym *la maison* znaczy po prostu dom. W tym budynku zastosowano rozwiązania funkcjonalne opracowane przez Le Corbusiera, którego *unité d'habitation* (jednostka mieszkaniowa) wywarła bardzo głębokie wpływy na rozwój światowej architektury. Wystarczy wspomnieć, że zaprojektowane dla tego budynku mieszkania dwupoziomowe były w latach pięćdziesiątych absolutnym novum, niespotykanym w Polsce jeszcze przez kolejne trzydzieści lat. Układ przestrzenny mieszkania ma swoje odzwierciedlenie w elewacji, której zamysł estetyczny również nawiązuje do pomysłów Le Corbusiera. Mezonetowiec, mimo że z pozoru jest blokiem, jakich mnóstwo, wpisuje się w jak najbardziej światowe trendy architektoniczne.

Innym śmiało zrealizowanym pod względem konstrukcyjnym wrocławskim projektem jest jedenastopiętrowy blok, którego poszczególne kondygnacje zawieszono na linach, wyprowadzonych z trzonu znajdującego się w jego wnętrzu. Z tego względu budynek nazwano trzonolinowcem, choć zwyczajowo używa się również bardziej przystępnej nazwy „wisielec”. Z poziomu parteru wchodzi się bezpośrednio do klatki schodowej, znajdującej się w trzonie bloku, natomiast pierwsze piętro sprawia wrażenie zawieszono ponad ziemią. Podczas remontu w 1974 r. podtrzymujące konstrukcję liny umocniono betonowymi i żelaznymi wspornikami, burząc zamysł konstrukcyjny trzonolinowca oraz zmieniono na niekorzyść jego elewację. Zastosowane rozwiązanie, mimo że nie jest stosowane powszechnie, znalazło uznanie wśród architektów. Podobnych konstrukcji jest na świecie niewiele. Znajdujący się przy ul. Kościuszki we Wrocławiu obiekt jest więc unikatem w skali światowej.

Nudne na pierwszy rzut oka blokowiska kryją niekiedy zadziwiające tajemnice. Nawet wśród tej masowej produkcji można dopatrzeć się wyjątkowych okazów. Wszystkie powyższe przykłady znajdują się w okolicy zabytkowego centrum Wrocławia. Poświęcając więc godzinę więcej na zwiedzanie miasta można zapoznać się bliżej z tymi zagubionymi w zalewie PRL-owskich blokowisk okruchami światowych trendów w architekturze wielorodzinnej.

Waldemar Jankowski
Foto: Wojciech Czopowski



Trzonolinowiec

MOUNTAIN MARATHON 2012
cykl zawodów w biegach górskich

NA SADECKICH SZLAKACH I W SCHRONISKACH

Nie dwie, jak przed rokiem i dwoma laty wyprawy, ale tylko jedna wpisała się w rozkład zajęć tego lata. Trzeba było wybierać. Pierwszy pomysł to plan wielodniowego przejścia przez Beskid Żywiecki. Mieliśmy zaczynać w Rycerze Kolonii, a kończyć w Korbielowie. Trasę ułożyłem tak, aby powtórzeń odcinków z lat ubiegłych było jak najmniej. Kilka dni przed wyjazdem raptowna zmiana kierunku. Różne względy kazały przenieść wyprawę bardziej na wschód. Padło na Beskid Sądecki.

Bezpośredni wakacyjny pociąg z Torunia dawał możliwość rozpoczęcia wędrowki z kilku sądeckich miejscowości. Rytro, Piwniczna-Zdrój, Żegiestów-Zdrój, Muszyna, Powroźnik i wreszcie Krynica-Zdrój to znakomite miejsca startu w góry. Kilka lat temu, gdy ruszałem z moimi chłopcami (wówczas 5- i 8-letnimi), plan był podobny. Mieliśmy wyjść z Krynicy i przez Jaworzynę wędrować na zachód. Stało się inaczej, wysiedliśmy w Muszynie i po krótkim dojeździe do Szczawnika poszliśmy do bacówki nad Wierchomlą. Korekta trasy nastąpiła niemal w ostatniej chwili, chyba ze względu na niepewną pogodę – burza wisiała w powietrzu. Potem też było sporo zmian z powodu weekendowego obłożenia trzech schronisk.

Tym razem postanowiłem trzymać się ściśle planu, a ponieważ partnerzy w wędrowce nieco podrośli (dziś 8 i 11 lat) i okrzepli w turystycznym rzemiośle, mogłem spokojnie realizować plan nawet z nocowaniem „na glebie”. Miała to być ich szósta wyprawa od schroniska do schroniska i byliśmy do tego przygotowani. Przed południem zajechaliśmy do Krynicy i od razu obraliśmy kurs na Górę Krzyżową. Z nieba coś z lekka kapało, więc założyliśmy pokrowce na plecaki i już spokojnie ruszyliśmy na szlak. Żółty i niebieski wyprowadzają z miasta w kierunku Krzyżowej. Szlaki opuszczają ulice miasta dość raptownie i w sposób (wówczas) mało czytelny. Prowizoryczny szlakowskaz był tylko szlaku żółtego, niebieskiego nie było wcale. Dwa tygodnie później dowiedziałem się w krynickim oddziale PTTK, że w tym miejscu ma stanąć klasyczny „rogał” z nowymi tabliczkami szlaków. Pewnie już stoi.

Idąc kombinacją szlaków z ominięciem wierzchołka Krzyżowej mijamy dolną stację „gondolki” w Czarnym Potoku i przecinając fragmenty tras narciarskich podchodzimy na Jaworzynę Krynicką. Owe trasy to paskudne klepiska. Wreszcie docieramy pod szczytową kopułę, zwieńczoną stacją kolejki gondolowej. Robi się wietrznie i zimno. W bok od stacji kolejki widzę coś jakby uliczkę z westernu: to kilka budynków mieszczących jakieś knajpy i sklepy. Rzeczywiście, przykład znakomitego „zagospodarowania turystycznego”. Schodzimy w kilka minut do schroniska PTTK. Właściwie jest to hotel górski. No cóż. Pewnie



Bacówka PTTK nad Wierchomlą



Schronisko PTTK na Hali Łabowskiej

ność, która zagościła na stałe w schronisku. Zauważyłem też wyremontowane pomieszczenia sanitarne. Przez baczówkę przewija się sporo wycieczkowiczów przychodzących tu od „kanapy”, wywożących ich z Wierchomli. Po południu robi się cicho i spokojnie.

Ranek następnego dnia wita nas drobnym deszczykiem. Taka to już tradycja podczas moich wycieczek w tej części Beskidu Sądeckiego. Pierwszy i drugi dzień od strony pogody wyglądają bardzo podobnie. Pewnie za dwie godziny przejaśni się – tak pomyślałem. Tak też się stało. Ponieważ trasa stosunkowo krótka, raptem na Łabowską, to i spieszyć się nie trzeba było. Wychodzimy koło godz. 11, jeszcze coś kapalo i było pochmurno. Jest niedaleko baczówki w kierunku Runka malownicza hala, którą nazwałem „Słoneczną”. Na mapach figuruje nazwa Polana Gwiazdzista. To już trzeci raz, że gdy jesteśmy na środku tej hali, rozstępują się chmury i wychodzi słońce. Podczas wędrówki głównym szlakiem spotykamy raptem kilka osób „na lekko” i ze dwóch „plecakowych”. Po południu na Hali Łabowskiej już całkiem słonecznie, tylko przed wieczorem jakaś zabłąkana bura chmura próbuje drobnym deszczem wystraszyć turystów buszujących wśród malin i borówek. Po południu schronisko tradycyjnie pustnieje, na nocleg zostaje może piętnaście osób. Trzeba przyznać, że załoga schroniska stara się podtrzymywać kulinarną sławę tutejszej kuchni, zapoczątkowaną onegdaj przez Irenę Tarnawską, dzisiaj gospodynię w schronisku na Cyrli. Gdy Krzys i Szczepan kończą dojadać menażkę pełną „halnych” jagód, ja okrążam kilka razy schronisko, które zostało nieco rozbudowane. Przede wszystkim powiększono jadalnię, a widok z okien na północ przy dobrej pogodzie jest znakomity. Przedtem północna i wschodnia strona obejścia schroniska nie były odwiedzane przez turystów, stanowiły raczej zaplecze obiektu. Dzisiaj stoją tam ławy i stoły, a schody zapraszają do jadalni.

Kolejny dzień również z nie długą trasą, ale ważny to odcinek, bo prowadzący na Cyrłę. Podczas poprzedniej wyprawy, minąwszy

zimą pełni dobrze swoją rolę obsługując i dając dach nad głową narciarzom wyciągowym. Przypuszczam, że od wiosny do jesieni mało kto w nim nocuje. Jednak robimy przerwę w wędrówce i pijemy pyszny, gorący barszcz domowej roboty. Pozostała druga część trasy tego dnia, przez Runek do baczówki nad Wierchomlą. Poniżej wierzchołka Jaworzyny pogoda znacznie lepsza i choć słońca się nie doczekaliśmy, to odcinek ten szło się całkiem sympatycznie. W baczówce zmiany, o których słyszałem, ale dopiero teraz mogłem je zobaczyć. Najbardziej widoczne i odczuwalne do duża weranda z widokiem na Tatry oraz elektrycz-



Chata Górską Cyrła



Widok spod Wierchomli na Pasma Radziejowej

siadają się często turyści na dłuższy popas. Kawalek dalej na Przeł. Bukowina odchodzi w lewo żółty szlak do Piwnicznej. Jest także wart polecenia, gdyż jest to szlak widokowy. Idąc nim w kierunku Piwnicznej podziwiamy Pasma Radziejowej. Tymczasem zbliżamy się do ostatniego „bastionu” Pasma Jaworzyny, czyli do Makowicy, górującej nad Rytrem. W jej pobliżu znajduje się najwyżej położony przysiółek Rytra – Cyrli. To znakomite miejsce na przerwę w wędrówce i nocleg w prywatnym schronisku *Górska Chata*. Prowadzi je wspomniana już pani Irena, niegdyś na Łabowskiej. Jej marzeniem było mieć „coś swojego” – no i ma. Poprzednio byłem na Cyrli ledwo parę miesięcy po rozpoczęciu działalności tego schroniska. Właściwie było jeszcze w pierwszej fazie adaptacji chaty na schronisko. Prace jeszcze trwają, ale schronisko kusi położeniem i wyglądem zarówno samego budynku, jak i otoczenia. Wspaniała pogoda pozwoliła jeszcze na popołudniowy krótki wypad pod skalną ściankę powyżej Cyrli, a moi chłopcy wypróbowali wszystkie urządzenia placu zabaw. Zresztą całe obejście, bardzo zadbane i bezpieczne, jest dobrym miejscem odpoczynku dla małych i dużych turystów. Jeśli ktoś nie musi pędzić naprzód z Łabowskiej na Przehybę lub nie kusi go zatrzymanie się w Zajeździe PTTK w Rytrze, warto by skorzystał z gościny Cyrli.

*Cdn.
Juliusz Wystouch*



POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO KRAJOZNAWCZE
ODDZIAŁ WROCŁAW FABRYCZNA *im. Witolda Prelicza*
Klub Turystyki Górskiej „ŁAZEK”
Delegatura Sudecka KTG ZG PTTK

ZAPRASZAJĄ W DNIACH : **19–21 PAŹDZIERNIKA 2012 ROKU DO UDZIAŁU W**

51 OGÓLNOPOLSKIM ZŁOCIE

SUDECKICH PRZODOWNIKÓW TURYSTYKI GÓRSKIEJ

Złot odbędzie się w Górach Opawskich; bazą Złotu będzie ośrodek „Czerwony Kozioł” w Głuchołazach (ul. Andersa 39).

Szczegółowe informacje i „Karty zgłoszenia” do pobrania na stronach:
lazekwroclaw.republika.pl, ktg.pttk.pl,
www.na-szlaku.net

ZAPRASZAMY !!!
Zarząd KTG „ŁAZEK”

Nietypowa trasa do źródeł Nysy Kłodzkiej

Odkąd przy jednym ze źródeł Nysy Kłodzkiej pojawiły się tablice z informacjami o nim, coraz więcej osób zagląda w ten wcześniej rzadko odwiedzany zakątek Masywu Śnieżnika. Zazwyczaj wszyscy wędrują tam czerwonym szlakiem z górnej części Jodłowa, ewentualnie żółtym z jego dolnej części. Opisywana tym razem trasa jest nieco ambitniejszym wariantem dotarcia do tego i nie tylko tego źródła królowej rzek Ziemi Kłodzkiej. To propozycja dla osób „zaawansowanych” kondycyjnie w turystyce górskiej. Wiedzie z Międzyzlesia czerwonym szlakiem przez Pisary, później niemal wzdłuż granicy zielonym „granicznym”. A jeszcze później bez ścieżki nawet wzdłuż źródłiskowego cieką Nysy Kłodzkiej po jej początek. Niespiesznym tempem z przerwami dojdziemy tam w niecałe 5 godz.

Wędrówkę można rozpocząć na międzyzleskim rynku (pl. Wolności), w rejonie którego znajduje się przyst. autobusowy. Tam łapiemy wspomniany wyżej czerwony szlak. Ci, którzy do miasteczka przyjadą pociągiem, mogą na czerwony wkroczyć tuż przy Sukiennicach (rejon domów tkaczy). Mijając to miejsce idziemy lekko pod górkę ul. Jana III Sobieskiego. Po kilku metrach miejska uliczka kończy się, a rozpoczyna polna, ale szeroka droga. Cały czas trzymamy się czerwonego szlaku, któremu towarzyszy tu szlak żółty prowadzący na Przeł. Międzyzleską. Już teraz widać, jak malowniczo położone jest Międzyzlesie. Wąska, górna część Rowu Górnej Nysy i południowy kraniec Gór Bystrzyckich to dominanta pejzażu, jaki widać tu z prawej strony. Około 35 min. niespiesznego marszu pozwala osiągnąć skrzyżowanie polnych dróg tuż pod wierzchołkiem Sikornika (550 m). Stoi tam tabliczka informacyjna oraz rogiacz ze szlako wskazem, wskazującym kierunek marszu do Rozdroża pod Opaczem. Tam też zmierny. Skracamy więc w lewo wkraczając na węższą niż ta, którą wędrowaliśmy dotąd. Prowadzi ona lekko falistym terenem wśród łąk, z rzadka poletek oraz niewielkich zagajników. Trzymając się wyraźniej dróżki po 25 min. od skrzyżowania otwiera się na wprost widok na wzniesienia południowo-zachodniego krańca Masywu Śnieżnika. Tyle, że jego części leżącej w Republice Czeskiej. Widzimy bowiem grzbiet z kulminacją Na Vyhlídce (753 m) i sąsiadujące z nim wzniesienie Roudný (677 m).

Parę metrów dalej z lewej oko nacieszyć można do-
prawdy okazałym, tym razem polskim krańcem Masywu Śnieżnika. Krawędź jego na granicy z największym rowem tektonicznym Sudetów – Rowem Górnej Nysy, jest niezwykle widowiskowa. Ze stromo wyrastających wzniesień łatwo rozpoznać Urvistą (795 m), Pątnika (695 m) i odległą Igliczną (845 m). Tę ostatnią mniej obeznany z terenem turysta pozna po widocznym stąd przy dobrej pogodzie



Krawędź Masywu Śnieżnika z czerwonego szlaku Międzyzlesie – Pisary

kościół MB Śnieżnej, wtopionym w jej strome zbocze. Rów Górnej Nysy to nie Wielki Rów Afrykański, ale mała jego namiastka w postaci stromych wzniesień nad płaskim dnem.

Z tego miejsca blisko już do pierwszych zabudowań wiejskich. To Pisary. Wkraczamy do nich mijając z lewej cmentarz. Dotąd od punktu startu z przerwami 1.10 godz. Po chwili dochodzimy do większego skrzyżowania. Tu z lewej wkracza szosa z Międzyzlesia przez Dolnik i Pisary, wiodąca do Jodłowa. Mijając kościół pw. św. Wacława idziemy wzdłuż niej właśnie w górę rzeki. Po chwili pokonuje ona większy zakręt w prawo. Z prawej ciekawa, odrestaurowana kapliczka z wnęką, nakryta drewnianym daszkiem. Szosa ponownie pokonuje zakręt, tym razem w lewo. Kilka metrów za nim czerwony szlak schodzi z szosy, odbijając dość niezauważalnie w prawo. Słabo widoczną, zarośniętą nieco ścieżką podchodzimy do góry. Opuszczamy na dobre obszar zabudowany. Po chwili odczuwalnego podejścia wychodzimy na teren otwartych łąk. Z rzadka tylko rosną tu pojedyncze drzewa. Większy obszar leśny mamy z lewej strony. To już lasy porastające zbocza Opacza (741 m). Nie jesteśmy jednak jeszcze na obecnej granicy polsko-czeskiej. Dla dotarcia tam musimy iść nieco w lewo skos (czerwony szlak jest tu iluzoryczny, w ogóle go nie widać). Kiedy zobaczymy zwarty szpaler krzewów, łączących się ze wspomnianym lasem, to znak, że dobrze idziemy. Tamtędy biegnie granica państwowa. Jeśli nie pobłądzimy (choć może się to tu zdarzyć), to 20 min. od wspomnianej kapliczki w Pisarach wystarczy, by dojść do kresu czerwonego szlaku, którym przywędrowaliśmy z Międzyzlesia. Poinformuje o tym czerwone kółko w białej obwolucie, wymalowane na ładnym rogaczu. Są na nim też tabliczki kierunkowe. Nas interesuje szlak zielony (oznaczony na szlakowskazie J22) w kierunku Przeł. Jodłowskiej i Trójmorskiego Wierchu (tu opisanego jako „Trójmorski Wierch”!). Zdążamy dalej zgodnie ze zn. zielonymi szlaku granicznego skrajem lasu (z lewej) i łąk (z prawej), za którymi widać zabudowania wioski Heřmanice. Nad nią wznosi się widziany już wcześniej znad Pisar grzbiet Na Vyhřídce. Zaraz z lewej zawieszona na drzewie niewielka kapliczka. Po chwili opuszczamy skraj lasu, wychodząc na niewielką polanę. Tu kończy się łagodny marsz. Przed nami podejście na widoczną na wprost kulminację Opacza. Nim dotrzemy na jego wierzchołek, czeka nas dość mozolny marsz pod górę, później jeszcze wędrówka jego grzbietem. Sam szczyt nie jest wielką atrakcją. W całości niemal zarośnięty. Tylko nieco niżej, z rejonu niewielkiej poręby, dojrzeć można, tym razem z góry, Heřmanice i kilka dalszych wzniesień bardziej w głąb Republiki Czeskiej. Dość łagodnie schodzimy w dół, wychodząc zarazem na teren zarastających drzewami łąk. Mamy stąd przepiękne widoki: na lewo górne zabudowania Jodłowa, na wprost zaś Trójmorski Wierch (1145 m) – jedna z nielicznych sudeckich gór, mających w swej nazwie słowo wierch. Na prawo od niego widoczny jest z kolei Jasień (936 m). Pomiędzy nim a Trójmorskim Wierchem łatwo dostrzec wyraźny wylot doliny potoku, uznawanego za źródłiskową Nysę Kłodzką. Tam też zmierzamy. Zaraz zza drzew widoczne na lewo w dole budynki to wieś Potoczek. Trochę wyżej widoczne jest stąd samotne zabudowanie posadowione pod lasem tuż nad wspomnianym wylotem interesującego nas potoku. Za naszymi plecami pozostaje Urwista.

Idziemy dalej prosto. Znaków szlaku prawie nie widać. Zmierzać trzeba wzdłuż granicy w kierunku wymienionego samotnego domostwa i wylotu z lasu źródłiskowej Nysy Kłodzkiej. W 20 min. od Opacza (3 godz. od Międzyzlesia) docieramy do dwóch słupków granicznych i niewielkiego szlabanu. Obok nich w pasie krzewów stoi ruina kapliczki. Kapliczka, dawniej pewnie otynkowana (ślady jeszcze są), wzniesiona była z kamienia łamanego. Tu też z lewej dochodzi do granicy szeroka droga, prowadząca z rejonu zabudowań Potoczka. My dalej prosto wzdłuż granicy. Po 10 min. od ruiny kapliczki z prawej na granicy kilka betonowych słupów. Tu opuszczamy szlak zielony, odbijając w lewo.



Ruina kapliczki przy zielonym szlaku granicznym nad Potoczkiem



Dolina źródłiskowej Nysy Kłodzkiej poniżej jej leśnego odcinka

miejsce „rozjechana” wygląda jak wielka kałuża, zasilana stale dużą ilością wody. Jesteśmy na granicy lasu. Tu Nysa opuszcza go, płynąc niżej wśród łąk. My zaś przekraczając potok skręcamy zaraz za nim w prawo. Rozpoczynamy wędrówkę wzdłuż Nysy aż do jej źródeł. W lesie musimy radzić sobie bez ścieżki, iść ostrożnie (po drodze różne przeszkody: możliwe pnie powalonych drzew, ruchome głazy, gdzieś grząsko i mokro). Trzymając się wzrokiem ciek wędrujemy dogodnym dla nas brzegiem. Co chwila warto podejść do łożyska Nysy. Wypatrzeć można tam kilka progów i małych kaskad. Po drodze przekraczamy kilka prostopadłych do biegu Nysy duktów leśnych. Przekonamy się, że nawet tu dość wysoko w górach (choć to raptem niby tylko nieco ponad 800 m), są na niej niewielkie przeprawy dla leśnych dróg. Takich minimostków jest tu kilka. Dwa, bardzo ładne, zbudowane są z kamienia łamanego. Mają wąskie przepusty. Nieźle się wkomponowały w krajobraz. Za jednym z nich widać chyba pozostałości

jakiegoś umocnienia brzegu potoku. Łamane kamienie, tworzące mały murek przy sporej kępie drzew, miały być może chronić je przed podmywaniem. W 40 min. od granicy lasu, przekraczając kolejną z leśnych dróg, zobaczymy ostatni z mostków, nieco inny niż minięte niżej. Jest on zarazem pierwszą od źródeł przeprawą na Nysie Kłodzkiej. My podążamy dalej do góry. Po chwili z prawej, patrząc od dołu, do potoku uchodzi inny ciek, jeden z dopływów. Zaraz kolejny. Ten kolejny to zarazem ciek płynący od głównego (tego, przy którym tablice) źródła Nysy. Tu wydaje się on mniej okazały. Węższy, z mniejszą ilością wody, a przy tym wyraźnie uchodzący do ciek, wzdłuż którego idziemy. No, ale kryterium historyczne robi swoje. Trzymając się większego ciek (nie zbaczać w prawo w stronę wymienionych potoczków!) idziemy jeszcze prosto kilka metrów wyżej. Teren jest tu dość podmokły. Po chwili stajemy przy wydajnym źródle. Ale to jeszcze nie koniec. Warto stąd dojść do drugiego, „głównego” źródła rzeki. W tym celu, patrząc od dołu, skręcamy w prawo i ostrożnie podmokłym terenem docieramy do drugiej „nitki” Nysy Kłodzkiej. Stąd w górę potoku, krocząc powoli wśród młodych, ale rozłożystych świerków, dochodzimy od dołu do kolejnego źródła. Z lewej na pniaku jedna z tablic. Wyżej dwie kolejne.



Trzeci mostek, licząc od źródeł, pod jakim przepływa Nysa Kłodzka

Trzymając się większego ciek (nie zbaczać w prawo w stronę wymienionych potoczków!) idziemy jeszcze prosto kilka metrów wyżej. Teren jest tu dość podmokły. Po chwili stajemy przy wydajnym źródle. Ale to jeszcze nie koniec. Warto stąd dojść do drugiego, „głównego” źródła rzeki. W tym celu, patrząc od dołu, skręcamy w prawo i ostrożnie podmokłym terenem docieramy do drugiej „nitki” Nysy Kłodzkiej. Stąd w górę potoku, krocząc powoli wśród młodych, ale rozłożystych świerków, dochodzimy od dołu do kolejnego źródła. Z lewej na pniaku jedna z tablic. Wyżej dwie kolejne.

Bartosz Skowroński

Kampania – malowniczy region Włoch (2)

Salerno

Jest to miejscowość o starożytnych korzeniach, najprawdopodobniej greckich. Salerno było miastem prężnie rozwijającym się w średniowieczu. Pod koniec X w. powstał tu najstarszy uniwersytet w kręgu cywilizacji łacińskiej na terenie pobizantyjskich posiadłości. Przetłumaczono w nim wiele mułmańskich i żydowskich dzieł medycznych. Najśłynniejszym tłumaczem działającym w tej szkole był Konstantyn Afrykańczyk, żyjący w XI w. Szkoła została odnowiona w 1232 r. i stała się domem dla wielu sławnych uczonych.



Widok na Salerno od morza

Piazza del Campo z fontanną Dolphin oraz między arystokratycznymi rezydencjami z małymi dziedzińcami i wyszukanyymi rzeźbami. Na uwagę zasługuje także Giardino Della Minerva (Ogród Minervy), gdzie dawni zielarze zbierali lecznicze rośliny.

W zabytkowym Salerno panuje niepowtarzalna atmosfera. Miasto od godz. 21 zamienia się w miejsce spotkań młodych ludzi, którzy przesiadują w barach, kawiarniach i restauracjach. Budynki z czasu renesansu, baroku i czasów współczesnych są harmonijnie usytuowane wokół starego centrum, w którym uwagę zwracają Santa Sofia, w której obecnie mieści się międzynarodowa wystawa sztuki, Palazzo Pinto, Teatro Verdi, Palazzo di Citta, Muzeum Ceramiki, Muzeum Regionu, Muzeum Diecezjalne z rzymskimi i średniowiecznymi artefaktami. To wszystko sprawia, że Salerno jest jednym z najbardziej przyjaznych i chętnie odwiedzanych miast. Centralne położenie nad zatoką o tej samej nazwie sprawia, że miasto jest głównym punktem turystyki wypoczynkowej i wczasów nad morzem.

Costiera Amalfitana

Będąc w Kampanii trzeba zobaczyć też Wybrzeże Amalfi. Costiera Amalfitana to obszar zajmujący południową część półwyspu Sorrento. Ten odcinek wybrzeża może śmiało rościć sobie prawa do najpiękniejszego w Europie. Nadmorska droga o tej samej nazwie wije się tu wśród potężnych skał, opadających niemal pionowo w lazurowe morze, dostarczając niezapomnianych widoków. Wybrzeże należy do najbardziej renomowanych we Włoszech, można podziwiać tu niebezpiecznie usytuowane rezydencje na stromych zboczach. Jednak nadmorskie skały są tak strome, że uniemożliwiają już właściwie dalszą rozbudowę okolicznych miast. Jest to gwarancją, że Wybrzeże Amalfi jeszcze na bardzo długo utrzyma swoje naturalne piękno. Przepięknie położone liczne plaże ściągają turystów z



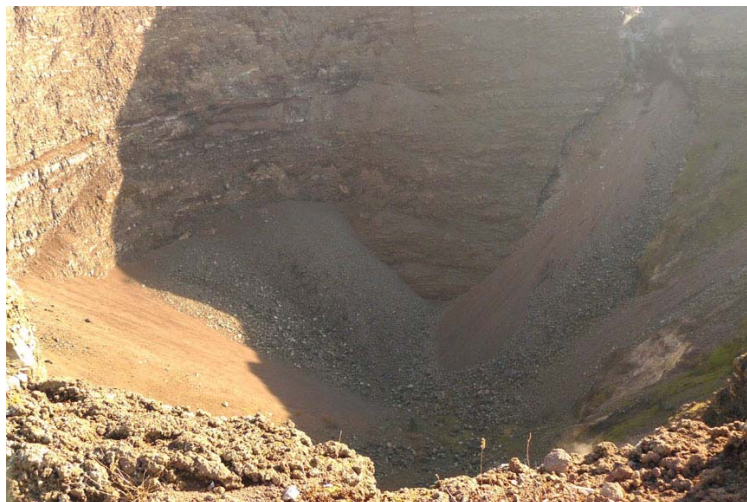
Zamek w Salerno

jedynym czynnym wulkanem w kontynentalnej części Europy. Zaliczany jest do typowych stratowulkanów. Wiek najstarszych skał szacuje się na 200 tys. lat. Dzisiejszy kształt stożka został uformowany podczas najśłynniejszej eksplozji z 24.08.79 r., kiedy zniszczone zostały Pompeje, Herkulanum i Stabie. Dzięki Pliniuszowi Młodszeemu, który obserwował erupcję z odległości 30 km, jest to pierwsze tak dobrze opisane zjawisko tego typu w historii. Później Wezuwiusz wybuchał jeszcze ponad dwudziestokrotnie, niszcząc miasta i zabijając tysiące ludzi. W dłuższych okresach spokoju zbocza wulkanu pokrywały się ponownie winnicami i polami uprawnymi. Na Monte Somma, które jest pozostałością starego stożka, znajduje się obserwatorium wulkaniczne (608 m n.p.m.), monitorujące stale aktywność wulkanu.

Coś do smaku

Kampania słynie z produkcji najbardziej cenionej odmiany mozzarelli – *mozzarella di bufala campana*. Ser ten jest produkowany wyłącznie w tym regionie według tradycyjnych, historycznych receptur z miasta Aversa w prowincji Caserta. Ser ten znajduje się na liście produktów o Chronionej Nazwie Pochodzenia. *Mozzarella di bufala campana* wytwarzana z mleka bawolego, wypasanych na bagnach Kampanii i Lazio w półdzikich warunkach, jest delikatniejsza i mocniej kremowa niż ta z mleka krów. Czarne bawolice dające mleko na mozzarellę mają rogi w kształcie półksiężyców. Od czasów średniowiecza żyją niedaleko Neapolu. *Mozzarella di bufala* ma kolor porcelany, pokryta jest cieniutkimi i błyszczącymi warstwami, które można zdejmować jedna po drugiej. Jest bardzo miękka i wilgotna, gąbczasta, przesiąknięta serwatką, niemalże rozpada się po pokrojeniu. Można ją podawać w zestawie z szynką parmeńską, pomidorami, oliwą, bazylią, ostrymi przyprawami, melonem, rukolą. Stanowi składnik pizzy.

Najbardziej znaną pizzą na świecie jest pizza z Neapolu. Oryginalna pizza neapolitańska jest wytwarzana z lokalnych składników, takich jak pomidory San Marzano, które rosną na polach wulkanicznych na południe od Wezuwiusza oraz *mozzarelli di bufala sampana*. Pizzę neapolitańską (później znaną jako margherita) po raz pierwszy przyrządził w 1889 r. Raffaele Esposito z okazji wizyty w Neapolu królowej Małgorzaty Sabaudzkiej. Raffaele Esposito przygotował dla niej placek z pomidorami, mozzarellą i zamiast oregano dodał liści bazylii, utworzył w ten sposób pizzę w kolorach włoskiej flagi. Jej Królewskiej Mości tak bardzo zasmakowała ta nowa potrawa, że zgodziła się, aby nosiła jej imię. Pizza neapolitańska odniosła światowy sukces, ubogacając się po drodze o liczne, niejednokrotnie przesadne, dodatki.



Krater Wezuwiusza

Koniec
Joanna Ślesińska

Karakorum – co z niego zostało?

Ktokolwiek choćby trochę zapamiętał historię Polski, to wie, że w XIII w. aż po Śląsk wtargnęli w 1241 r. Mongołowie, zatrzymani dopiero przez Henryka II Pobożnego pod Legnicą. Z tymi czasami wiążą się próby nawiązania przez papieżstwo kontaktów z ich władcą i misja wysłanego w tym celu wrocławianina (?) Benedykta Polaka. Dotarł on do stolicy mongolskiej po długiej i niebezpiecznej podróży – było nią Karakorum. Nic dziwnego, że chwała o wielkości i wspaniałości, minionej zresztą dawno, tej miejscowości skłania dzisiejszych globtroterów do męczącej podróży nader kiepskimi drogami, a częściej jeszcze bezdrożami współczesnej Mongolii. Na miejscu czeka ich – o ile wcześniej się nie przygotowali, np. poprzez internet, duże rozczarowanie. Cóż bowiem można zobaczyć?



Ogólny widok Erdenedzuu chijd,
za: pl.wikipedia.org/wiki/Erdenedzuu_chijd

mongolskich przybrał imię Dżyngis Chana (lub Czyngis Chana). Wkrótce po jego śmierci w 1227 r. imperium sięgało Europy Wschodniej i Pekinu. Syn Ugedej ustanowił Karakorum w 1234 r. stolicą, rozbudowując je do miasta znacznych rozmiarów, choć niezbyt efektownego. Wyróżniały się nie liczne tylko budynki, jak pałac chana czy świątynie. Tak wielkie imperium nie mogło być racjonalnie zarządzane ze środka Azji, stąd w 1261 r. doszło do jego podzielenia na trzy części, przy czym wschodnią – obejmującą Mongolię i Chiny otrzymał wnuk Wielkiego Chana (jest on dziś eksponowanym i niemal powszechnie czczonym narodowym bohaterem współczesnej Mongolii) – Kubłaj. W 1264 r. zdecydował się on przenieść stolicę do obecnego Pekinu, zakładając potężną dynastię Yuan. Od tego czasu Karakorum, tak barwnie przedstawione przez Marco Polo, zaczęło podupadać, aż kres położyli mu w 1373 lub 1388 (rozbieżne informacje) Chińczycy, pragnący uwolnić się od Mongołów. Dodatkowo do zniszczeń dołożyli się w 1691 r. Mandżurowie, więc praktycznie miejscowość przestała istnieć.

Pamięć o niej jednak nie zagięła. Oto w 1586 r. świątły chan

W pobliżu gór, dających osłonę przed wiatrami, tuż obok rzeki Orchon, funkcjonowała w VIII-IX w. „stolica” ujgurskiego plemienia, daleka w wyglądzie i zabudowie (nietrwalej) od europejskich miejscowości. Miejsce to wykorzystał jeden z rosnących w siłę wodzów mongolskich, około 1220 r. organizując w nim bazę wojskową i osadzając chińskich jeńców. Wodzem tym był urodzony w 1155 lub 1162 r. (źródła historyczne różnie podają) Temudżyn, który w 1206 r. po zjednoczeniu większości plemion



Świątynia z XVII w.



Pałac-klasztor Lawirant

Abataj z wykorzystanych gruzów rozpoczął budowę wspaniałego klasztoru buddyjskiego orientacji lamajskiej (tybetańskiej). Powstały trzy pierwsze budynki, poświęcone różnym wcieleniom Buddy i stanowiące zasadniczą część kompleksu. Jego syn i krewni postawili dalsze, tak że w 1792 r. istniały tu 62 świątynie i ponad 500 mniejszych obiektów, otoczone w latach 1734-1804 murem na planie kwadratu 420x420 m. Wszyscy mnisi zostali wymordowani przez mongolskich komunistów

w ramach wielkiej akcji czystki antyreligijnej w 1937 r., a sam klasztor Erdenedzuu Chijd – wedle obecnej mongolskiej pisowni (dotychczasowa – Erdene Dzuu), zrównany z ziemią. Nie do końca jednak: ocalały pierwsze trzy świątynie, pałac Lawiran (dziś służy jako klasztor) – jedyny w Mongolii w czystym stylu tybetańskim, oraz grobowce Abataja i jego syna Gombodordź Tuszetu. Podziwiać też można największą w Mongolii stupę. W 1965 r. ustanowiono tu muzeum, zaś w 2004 r. kompleks wpisano na Listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO.



Ujgurski żółw

Co zostało z Karakorum? Właściwie nic – ujgurski kamienny żółw z IX-X w., stojący dość daleko za klasztorowymi murami, i parę rzeźb z XIII w. w ich obrębie. Poza tym – wielka pustka w kompleksie, gdzie aktywni buddyści na fali pokomunizmu dążą do odbudowania największej świątyni. Obok zaś powstało miasteczko Charchorin tak nieciekawe, że nie ma co o nim wspominać – ale to ono służy jako drogowy kierunkowskaz.

Krzysztof R. Mazurski

Oddział Wrocławski PTTK zaprasza na prelekcje

- 4.10 - Prelekcja Ireny i Jerzego Załęskich pt. "Drewniane kościoły Warmińsko-Mazurskie" cz.1
- 18.10 - Prelekcja Krzysztofa R. Mazurskiego pt. "Etiopia – historia i zabytki"
- 20.10 – 21.10 Dolnośląskie seminarium kajakowe i podsumowanie sezonu turystycznego Nowa Morawa – Góry Białskie Wrocławski Klub Wodniaków Wiadrus www.wiadrus.wroc.pl
Klub Turysty PTTK, Rynek-Ratusz 11/12, IV p., godz. 17:00

ORANIENBAUM

Miasto Łomonosow, liczące 42 tys. mieszkańców, leży nad Zatoką Fińską, 8 km na zachód od Peterhofu. W tym miejscu kończyła się droga z Petersburga (40 km) i tu zaczynała się przeprawa promowa do powstającej na wyspie twierdzy Kronsztadt (8 km od brzegu). Jego nazwę nadano (1948) na cześć wielkiego uczonego Michaiła Łomonosowa (1711-65), ale tutejsza rezydencja carska zachowała starą nazwę Oranienbaum (co oznacza drzewo pomarańczowe).

Piotr I w 1707 r. podarował posiadłość w miejscu, gdzie rzeczka Karasta wpada do morza, swojemu ulubieńcowi księciu Aleksandrowi Mienszykowowi. Nowy właściciel wznosił tu (1711-25) ogromny barokowy pałac (zwany dziś Wielkim lub Mienszykowskim), zwrócony czołem do morza. Składa się on z głównego gmachu o długości fasady 210 m, skrzydeł i ośmiobocznych pawilonów. Ku morzu opuszczają się tarasami ozdobne schody. W Dolnym Parku jest wiele fontann. Budowniczymi byli ci sami architekci, którzy wznosili wówczas generał-gubernatorowi największy pałac w Petersburgu, a mianowicie Giovanni Fontana (1670-1712), a po jego śmierci Gottfried Schädel (1680-1752). Zdaniem znawców, Pałac Mienszykowski swoim bogactwem formy dorównuje Pałacowi Letniemu w Peterhofie.



Wielki Pałac Mienszykowski od zachodu

nej Rady. W 1727 r. przyswoił sobie stopień wojskowy generalissimusa, zaręczył córkę Marię z Piotrem II (wnukiem Piotra I). Jednak w tym samym roku Piotr II, pod wpływem bojarów, oskarżył go o trwonienie pieniędzy państwowych. Skonfiskowano mu majątek: 90 tys. chłopów pańszczyźnianych, 6 miast, pałace i 14 mln rubli w złocie i w zagranicznych bankach. Mienszykow, osądzony, został zesłany pod Tiumeń, gdzie po dwóch latach zmarł. W następnym roku na ospę zmarł Piotr II, nie zdążywszy się koronować.

Całą posiadłość w 1743 r. otrzymał Piotr – siostrzeniec carycy Elżbiety. Wznosił on w parku budowlę na kształt twierdzy z czterema bastionami (1758-62); do naszych czasów przetrwała z niej tylko brama. Będąc carem Piotrem III (1761), zbudował niedużą rezydencję. Po roku panowania został zamordowany w niej przez spiskowców, a gdy na tronie zasiadła Katarzyna II, wdowa po zabitym, zleciła ona przebudowę zespołu pałacowo-parkowego w carskie letnisko. W Górnym Parku architekt Antonio Rinaldi (1710-94) wybudował rokokowy Pałac Chiński (*Kitajskij dworec*, 1762-68) z orientalnym wnętrzem, udekorowanym obrazami i rzeźbami pochodzącymi z Chin i Japonii. Część podłóg w siedemnastu komnatach inkrustowano płytkami szklanymi z fabryki szkła i porcelany, założonej nieopodal przez Michaiła Łomonosowa (stąd nazwa miasta). Po zużyciu płytek zastąpiono je kopiami z drewna. Architekt stworzył też Górkę Zjazdową (*Katalnaja gorka*, 1762-74) do dworskiej zabawy, polegającej na zjeżdżaniu z niej w saniach umieszczonych na kółkach po drewnianym torze o długości 502 m. Dwa boczne równoległe tory służyły do podnoszenia wózków przy pomocy wyciągarek. Po obu stronach zjazdu stała galeria z 700 kolumn. Po stu latach zużyty tor z kolumnadą rozebrano, pozostał tylko trzypiętrowy barokowy pawilon zjeżdżalni. Zachowały się w nim dekoracje

Ciekawy był los właściciela. Aleksandr Mienszykow, syn dworskiego koniucha, przez wiele lat wiernie towarzyszył i służył Piotrowi I w jego podróżach i bojach, później, korzystając ze swych zdolności, dowodził oddziałami piechoty i konnicy, kierował budową Sankt Petersburga, Kronsztadtu, zarządzał ziemiami odbitymi od Szwedów, nadzorował skarb państwa. Tytułowano go *swietlejszym kniaź* (a więc najszlachetniejszy książę). Po śmierci Piotra I wprowadził na tron Katarzynę I, drugą żonę imperatora, zostając za jej zgodą nieformalnym władcą Rosji jako szef Najwyższej Taj-



Paradne schody Wielkiego Pałacu Mienszykowskiego

ne dla Pałacu Chińskiego. Obok płynie rzeczka Karasta z dwoma stawami i sztucznymi wodospadami. Uroku dodaje altana z pergolą nad stawem.

Ale skąd taka dziwna nazwa? Jedno z wyjaśnień głosi, że w oranżerii parkowej rosły drzewa pomarańczowe. Inne, że Mienszykow już wcześniej posiadał majątek o nazwie Oranienburg koło Woroneża, dlatego nowej siedzibie książęcej nadał podobną nazwę.

Mimo że Oranienbaum leży dalej od Petersburga niż Peterhof, Niemcy nie zdołali zawładnąć miastem. Podczas blokady Leningradu (1941-44) miasto stanowiło nadmorski przyczółek wojsk radzieckich. Stąd 14.01.1944 r. zaczęło się natarcie, które odblokowało Leningrad i rozgromiło niemiecką grupę armii „Północ”. Tylko Oranienbaum dotrwał do naszych czasów w swej historycznej postaci.

Dziś ten wielki zespół pałacowo-parkowy, podporządkowany (2007) kompleksowi muzealnemu Peterhof, jest udostępniony do zwiedzania jako muzeum, zresztą jak i pozostałe rezydencje carskie (Peterhof, Carskie Sioło, Pawłowsk, Gatchyna, częściowo Strelna).



Katalnaja Gorka

*Janusz Fuksa
Foto: Wikipedia*



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Wycieczka na Ukrainę

Pożegnaliśmy 12. czerwca rodziców i wyruszyliśmy w bezkresne przestworza stepów z kurhanami, przemierzane niegdyś przez kozaków, pełne odgłosów dzikich dusz i rżenia koni. My, już czwarte gimnazjalne klasy Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Wilnie, pod opieką wychowawców: Ireny Litwinowicz, Ireny Dziugiewicz, Władysława Borowskiego i Anny Makowskiej, oraz przewodnika Izydora Kowalczuka, wybraliśmy się w podróż na Ukrainę.



Zwiedzanie dawnych polskich kresów południowo-wschodnich rozpoczęliśmy od Ławry Poczajowskiej, największego ośrodka prawosławia na Wołyniu, położonego malowniczo na wietrznym grzbiecie wyniosłego wzgórza. Tam niegdyś ukazała się Najświętsza Bogurodzica w słupie ognia, pozostawiając na skale ślad Swej stopy, z którego wytrysnęła woda, kojąca bóle i cierpienia. Modląc się o łaski Boże, ze spokojem w sercu ruszyliśmy dalej, w strony dzieciństwa wieszczą narodowego i mistyka Juliusza

Słowackiego. W Krzemieńcu zwiedziliśmy dom rodzinny i muzeum autora wiersza „Pośród niesnaków Pan Bóg uderza”, na własne oczy zobaczyliśmy dawne Liceum Krzemienieckie, w którym nau czali tacy sławni Polacy, jak Joachim Lelewel, Euzebiusz Słowacki, Aleksander Mickiewicz. Dalej podążyliśmy śladami bohaterów „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza by zwiedzić potężny zamek w Zbarażu. Podróż kontynuowaliśmy, oglądając jeden z „siedmiu cudów Ukrainy” – zamek w Chocimiu, położony na przecięciu szlaków handlowych. Niegdyś strzegł on ważnego brodu na Dniestrze. W Kamieńcu Podolskim przed naszymi oczyma ukazała się potężna warownia, zwana „bramą do Polski”, broniąca Starego Miasta. W Olesku przebywaliśmy w twierdzy, w której czterysta lat temu Teofilia Sobieska powiła pogromcę Turków – Jana III Sobieskiego.

Kolejnym punktem wyprawy była najstarsza nekropolia Lwowa – zabytkowy, pełen ciszy i uroku Cmentarz Łyczakowski, będący miejscem wiecznego spoczynku m.in. powstańca listopadowego Juliusza Konstantego Ordon, autora „Katechizmu Polskiego Dziecka“ Władysława Bełzy, twórcy Teatru Wielkiego we Lwowie Zygmunta Gorgolewskiego, malarza Artura Grottgera, matematyka Stefana Banacha, poetki Marii Konopnickiej i pisarki Gabrieli Zapolskiej. Alegoryczne postaci i wizerunki zmarłych, empirowe i klasycystyczne kaplice, kolumny i obeliski, wykonane przez najlepszych artystów, były przedmiotami naszego podziwu. Na Cmentarzu Orląt Lwowskich w sercach oddaliśmy hołd naszym rówieśnikom, odznaczonym orderami Virtuti Militari za odwagę i męstwo w obronie Lwowa. Następnie podążyliśmy ulicami Starego Miasta, aby obejrzeć renesansową cerkiew Uspieńską z wieżą Korniakta i kaplicą Trzech Świętych. Zwiedziliśmy jeden z najwspanialszych barokowych zabytków Lwowa – kościół Bożego Ciała i klasztor dominikanów, szliśmy obok Ratusza,



otoczonego czterema empirowymi studniami bogów, obejrzelśmy aptekę – muzeum „Czarny Orzeł”, w której niegdyś poszukiwano kamienia filozoficznego i eliksiru życia. Podziwialiśmy jeden z najstarszych i najcenniejszych zabytkowych kościołów miasta – katedrę ormiańską pw. Wniebowzięcia NMP z malowidłami Jana Henryka Rosena. Wstąpiliśmy do gotyckiej katedry Wniebowzięcia NMP, a na pl. A. Mickiewicza przywitaliśmy patrona naszego gimnazjum i mieliśmy okazję podziwiać Lwowski Narodowy Akademicki Teatr Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej.

Zmęczeni, ale radośni i szczęśliwi, wracaliśmy z piosenkami do rodzinnych stron, pozostawiając za sobą ukraińskie stopy, puste i pełne zarazem, uroczne i mroczne, ciche, spokojne i pełne zasadzek dzikie przestworza, w których nieposkromiony wiatr gnał w obszary wolności echa minionych lat.

*Dorota Stankiewicz
Uczennica klasy G4c*

Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Wilnie

STĄD DO SŁOWIANKI

Najdłuższy znakowany szlak turystyczny to niewątpliwie Główny Szlak Beskidzki liczący 519 km. Znacznie krótszy jest Główny Szlak Sudecki o długości 440 km. Pomiędzy nimi plasuje się szlak Szlak Uwielbienia Słowianki. Nawet można dodać Główny. Nie jest znakowany, raczej odcisnięty w sercach i umysłach dwojga toruńskich turystów. Nie jest istotne, jak się nazywają i kim są, ważne jest to, że każdego roku ruszają na Słowiankę do stacji turystycznej znanej chyba każdemu beskidzkiemu turyście. Ale nawet to nie wydaje się niczym szczególnym, wszak wielu turystów ma swoje ulubione miejsca, do których często chętnie wracają, nie zaniebując innych pasm i masywów górskich. Szczególnie jest to, że przed swoim domem owi turyści postawili drogowskaz szlaku z tabliczką wskazującą: SŁOWIANKA 456 km + 1 h. Znają tam wszystkie szlaki, każdy kąt, każdy jagodowy krzak, jelenie i niedźwiedzie ścieżki na Romance. Powie ktoś, że to zbędna egzaltacja? Nie, to prawdziwa fascynacja górami, wyrażona w nietypowy sposób.

Juliusz Wystouch



SIWY I JEGO DRUŻYNA

Konno przez Beskid Sądecki

Coraz popularniejsza staje się górską turystyką konną. Oznakowano kilka szlaków biegnących często razem z pieszymi lub rowerowymi, bądź po ścieżkach i drogach rzadko odwiedzanych przez piechurów. W kilku podgórskich miejscowościach powstały stajnie z końmi pod wierzch. Są to jednocześnie ośrodki turystyki jeździeckiej, organizujące pobytowe wczasy „w siodle” i górskie wycieczki konne. Podczas tegorocznej wędrówki przez Beskid Sądecki spotykałem nie tylko ślady po koniach, ale także żywe dowody rozwoju tej formy turystyki. Oto niedawno Hali Pisanej spotkaliśmy Siwe-



go i jego drużynę, można rzec nawet, że „fracymier”. Idąc w kierunku Pisanej nagle zza zakrętu szlaku wychylił się Siwy (jak się później okazało), a zaraz po nim spora ekipa dziewcząt na koniach. Po chwili rozmowy „podjazd” ruszył w kierunku Łabowskiej, a my w swoim kierunku. Na pytanie, czy taka turystyka nie przeszkadza tradycyjnej turystyce pieszej, odpowiadam – oczywiście, że nie przeszkadza. Konie i jeźdźcy nie czynią nikomu krzywdy, człapiąc sobie dostojnie po szlaku.

Pozdrowienia dla Siwego i sympatycznych amazonek!

Juliusz Wystouch





KSIĘSTWO ŚWIDNICKO-JAWORSKIE ZAPRASZA

W kolejnej części cyklu przedstawiamy nowe propozycje aktywnego spędzania czasu.

1. Pierwszą propozycję kierujemy do miłośników dwóch kółek, których tym razem zapraszamy do przejażdżki kolejnym fragmentem międzynarodowego szlaku Eurovelo R-9, oznakowanego kolorem zielonym ze Świdnicy do Srebrnej Góry. Nie jest on skomplikowany ani trudny technicznie, gdyż w przeważającej części biegnie po lekko pagórkowatych terenach u podnóża Gór Sowich, m.in. przez Makowice, Krzyżową, Wieruszów, Lutomię Dolną, Stachowice, Pieszyce, Bielawę, Ostroszowice, Jemną aż do Srebrnej Góry. Szczegółowy opis szlaku wraz z mapką jego przebiegu znajduje się na stronie www.ks-j.com.pl.

2. Drugą propozycję kierujemy do miłośników pieszych wędrówek, a jest nią spacer ścieżką dydaktyczną „Zębata”, która została wytyczona śladem dawnej „Kolejki Sowiogórskiej”. Kolej ta została zaopatrzona w trzecią szynę zębatą, umożliwiającą bezpieczne prowadzenie ruchu na trudnym i stromym odcinku toru od Srebrnej Góry do Woliborza. Na trasie byłej kolejki możemy także podziwiać dwa imponujące wiadukty: „Srebrnogórski” (27 m wysokości) oraz „Zdanowski” (24 m wysokości). Szczegółowy przebieg trasy jest na stronie www.stoszowice.pl.

3. Osoby zainteresowane obiektami sakralnymi zapraszamy do odwiedzenia katedry pw. św. Stanisława i Waclawa w Świdnicy. Jest to jeden z największych kościołów Śląska. Wieża wysokości 101,5 m jest najwyższą na Śląsku i piątą co do wielkości w Polsce (po bazylice w Licheniu, archikatedrze szczecińskiej, bazylice jasnogórskiej w Częstochowie i archikatedrze łódzkiej). Kościół powstał w XIV w. na polecenie księcia Bolka II świdnickiego, po pożarze wcześniejszego drewnianego kościoła stojącego na tym miejscu. Początek budowli określa się na 1330 r., a legenda głosi, że sam książę położył pierwszy kamień pod budowę. W latach 1561-1629 kościół był użytkowany przez ewangelików, a w 1662 r. patronat nad świątynią objęli jezuita, którzy na przełomie XVII i XVIII w. dokonali barokizacji wnętrza. Po sekularyzacji zakonu kościół został w latach 1757-1772, za zgodą władz pruskich, zamieniony na magazyn zbożowy. Restaurowany w latach 1893-1895, utracił wiele oryginalnych elementów architektonicznych. Szczegółowe informacje znajdują się na stronie www.katedra.swidnica.pl.

4. Na zakończenie coś dla osób, pragnących w ciszy i spokoju spędzić wolne dni. Zachęcamy do odwiedzin położonego niedaleko Świdnicy w Kraskowie Hotelu i Restauracji „Pałac Krasków”. Jest to spokojne miejsce dla ludzi szukających czegoś specjalnego, jak również nadające się do organizowania przyjęć i spotkań w uroczej scenerii zielonej przyrody, a wszystko to w jednym z najpiękniejszych barokowych pałaców tej części Polski.

Praktyczne informacje uzyskać można w świdnickiej Informacji Turystycznej, ul. Wewnętrzna 2 (Rynek), tel. 74/ 852 02 90.

Przydatne materiały dostępne w Informacji Turystycznej w Świdnicy:

* Mapa turystyczna Góry Sowie, wyd. PLAN 2011.

* Mapa turystyczna Księstwo Świdnicko- Jaworskie, wyd. PLAN 2011.

* Świdnica plan miasta, wyd. PLAN 2010.

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

CZY KLIMAT NAM SIĘ ZMIENIA?

Tegoroczne lato już po raz kolejny przyniosło wiele dramatycznych zjawisk: trąby powietrzne, gradobicia, gwałtowne burze z obfitymi opadami. Mówi się o ociepleniu klimatu. Uczeni obserwują sukcesywne topienie się lodowców.

Klimatolodzy korzystają z zapisów parametrów pogody dopiero od XIX w. Obserwacje jej prowadzono jednak od wieków, o czym świadczą m.in. przysłowia ludowe. Opisują one potoczne przekonania o prawidłowościach zachodzących cyklicznie w przyrodzie. Czas określano według świętego, któremu poświęcony był w kalendarzu dany dzień. Przysłowie twierdzi, że „Na świętego Grzegorza idzie zima do morza” (12.03), chociaż pogoda bywa zmienna: „W marcu jak w garncu”, a „Kwiecień plecień wciąż przeplata, trochę zimy, trochę lata”. Wkrótce jednak „Święta Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka” (20.04). W połowie maja bywają wprawdzie przymrozki („zimni ogrodnicy” czy „zimna Zośka”), ale już „Święta Zofija kłosy rozwija”. Także nazwy miesięcy odwołują się do zjawisk przyrody, np. w lipcu zakwitają lipy, w sierpniu żniwiarze wychodzą z sierpami do żniw, we wrześniu kwitną wrzosy, a w listopadzie spadają liście z drzew. I już „na świętego Marcina zima się zaczyna” (11.11.).

Nie zawsze jednak wszystko w przyrodzie idzie zwykłym przewidywalnym trybem. Wielokrotnie w kronikach, a od XIX w. także w gazetach, znajdujemy opisy niezwykłych zjawisk w przyrodzie. Najczęściej odnotowywane są powodzie. Najdawniej wzmiankowana wielka powódź na Śląsku miała miejsce w 1501 r., kiedy to Odra i Oława utworzyły we Wrocławiu wspólne koryto. W 1523 r. ulewne deszcze padające 14-23.06. spowodowały, że woda stała w dolinie Odry na łąkach i polach aż do sierpnia, niszcząc zboże i sianokosy oraz powodując zarazę wśród ludzi i bydła. Analiza czasu występowania powodzi pozwala zaobserwować, że występują one najczęściej po obfitych opadach w lipcu lub sierpniu. Od połowy XIX w. próbowano im zapobiegać poprzez regulację rzek i budowę zbiorników retencyjnych. Zaczęto także prowadzić dokładne systematyczne obserwacje stanu wód. Wiemy więc, że 16.08.1854 r. rozpoczęły się opady deszczu, które przez dwa tygodnie doprowadziły do powodzi na Odrze. Wtedy 25.08. w Głogowie odnotowano najwyższy poziom wody – 673 cm. A 9.07.1903 r. zapisano najwyższy opad dobowy w zlewni górnej Odry, który wyniósł 240 mm. Podczas katastrofalnej powodzi w 1929 r. w nocy z 13/14.07. w Brzegu Dolnym poziom wody Odry wyniósł 746 cm. Pamiętne wydarzenie nastąpiło 5.07. 1958 r.: podczas wielkiej fali powodziowej o godz. 4.20 nastąpił przelew przez kaskadę zapory w Pilchowicach, a 5.07.1958 r. o godz. 18.00 także przelew przez upusty boczne zapory w Leśnej. Podobna sytuacja miała miejsce podczas tzw. powodzi tysiąclecia w 1997 r.: 20.07. woda przelała się przez zaporę w Pilchowicach. Największa fala powodziowa przeszła wówczas przez Wrocław w nocy 13/14.07, poziom fali kulminacyjnej w Głogowie wyniósł wtedy 715 cm, zaś druga fala kulminacyjna parę dni później sięgnęła tamże 667 cm.

Kroniki notowały także inne anomalie, np. niespotykane susze. W lecie 1455 r. deszcz nie padał przez szesnaście tygodni i Odra wyschła całkowicie. W 1504 r. w okolicach Lubania deszcz nie spadł przez dziesięć miesięcy, a w 1590 r. z powodu suszy powysychały takie rzeki, jak m.in. Bóbr, Kaczawa, Kwisa, Oława i Widawa. W latach 1726-27 wielkie posuchy na Śląsku doprowadziły do klęski nieurodzaju i głodu. W 1824 r. w reencji legnickiej młyny stały bezczynne z powodu braku wody w rzekach.

Historycy zwracają uwagę na to, że w XVI w. nastąpiło wyraźne ochłodzenie klimatu. Zima 1513/1514 r. była wyjątkowo ostra i długotrwała: mróz trzymał bez przerwy od 24 października przez pięć miesięcy! Wtedy to w Głogowie i Zielonej Górze wymarły winnice, których istnienie świadczyło dotychczas o łagodnym klimacie. Z powodu mroźnej zimy 1556/57 r. chłopci zdejmovali poszycie

z dachów, aby ciąć i parzyć słomę ze strzech na paszę dla bydła, by ocalić je od śmierci głodowej. Rok 1587 przyniósł mokre i zimne lato oraz wylewy rzek. Wczesna zima spowodowała, że warzywa i jare zboża nie dojrzały. Żniwiarze żęli zboże w kozuchach, a na tzw. przednówkach, gdy nie było jeszcze nowych plonów, ludzie cierpieli głód i wzrastała ich zapadalność na choroby i śmiertelność.

Odnutowywano także inne nietypowe zjawiska: 14.05.1619 r. wszystkie rzeki w Karkonoszach pokryła gruba warstwa lodu, 16.05.1633 r. w Karkonoszach spadł wielki śnieg, a w niektórych rejonach Śląska opady śniegu odnotowano w lipcu 1732 r. Śnieg w lipcu pojawił się także obficie 12.07.1888 r. w najwyższych partiach Sudetów; 7-09.04.1864 r. z powodu obfitych opadów śniegu Dzierżoniów pozbawiony był połączenia kolejowego. Najniższą temperaturę powietrza odnotowano w rejonach górskich w nocy 2/3.03.1929 r. -42 °C. Tragiczne wydarzenie miało miejsce 20.03.1968 r., gdy ze stoków Białego Jaru zeszła lawina długości 600 m, szerokości 80 m i wysokości czoła 12 m – zginęło w niej 19 turystów. Bywały także zimy bardzo łagodne. Odnotowano, że w 1473 r. już 12.03. zakwitły róże. Na przełomie sierpnia i września 1530 r. oraz września i października 1552 r. po raz drugi zakwitły drzewa owocowe, głóg, tarnina i róże. W 1575 r. cieszył wielki urodzaj winnej latorośli i owoców na całym Śląsku. O niespotykanej w zimie wysokiej temperaturze ma świadczyć zapis w kronice Kamiennej Góry, że 1.01.1771 r. było tak ciepło, iż wielu mieszkańców miasta chodziło boso. Trudno stwierdzić, jaka wtedy mogła panować temperatura, bo trzeba by znać ich odporność na zimno.

Do anomalii pogodowych zaliczyć należy także huragany i trąby powietrzne. Najdramatyczniejsze wydarzenia miały miejsce we Wrocławiu 24.02.1529 r., kiedy runął hełm wieży kościoła św. Elżbiety, oraz 26.01.1566 r., gdy potężna wichura zniszczyła stary zegar w kościele NMP na Piasku. Wielkie spustoszenia uczyniła 7.03.1602 r. trąba powietrzna w Oleśnicy. Przerażenie budziły także gwałtowne burze i wyładowania atmosferyczne. Dnia 12.08.1724 r. piorun uderzył w salę jadalną bolkowskiemu zamku, niszcząc portret Bolka I. Tragiczna była śmierć ks. pastora Gottloba Adolpha w Kościele Łaski w Jeleniej Górze. Oto 1.08.1745 r. w niedzielne popołudnie piorun uderzył w wieżę kościoła, trafiając w żelazną podporę, na której zamocowana była lina utrzymująca baldachim kazalnicy. Schodzący po linie piorun zabił stojącego na ambonie księdza na oczach jego parafian. W nocy z 21/22.06.1749 r. od uderzenia pioruna wybuchła wieża prochowa na ul. Włodkowica we Wrocławiu. Zginęło wtedy około stu osób, a wybuchające beczki z prochem dokonały ogromnych spustoszeń, m.in. zrujnowany został prawie już gotowy tzw. kościół dworski, czyli dzisiejszy kościół Opatrzności Bożej. Szczególnie gwałtowne bywają wyładowania atmosferyczne w górach. W ciągu jednej godziny piorun pięciokrotnie uderzał 18.10.1828 r. w kaplicę na Śnieżce, a 16.08.1834 r. w wyniku jego uderzenia zginął leżący przy piecu w kaplicy na Śnieżce młody turysta z Wrocławia, zaś porażonych zostało dalszych sześć osób. Od 2 poł. XIX w. nie notuje się już takich wypadków w związku z upowszechnieniem piorunochronów.

Przegląd odnotowanych przez wieki anomalii pogodowych pozwala stwierdzić, że niezwykle zjawiska miały już miejsce w przeszłości. Czyżby *nihil novi sub sole*?

Anna Oryńska

Korzystałam z R. M. Łuczyński, *Chronologia dziejów Dolnego Śląska*, Wrocław 2006.

WELCOME
≡ **TOURIST** ≡
www.welcome-tourist.com.pl



Ech, te dzieci

Ech, te dzieci? Nie. Ech, ci rodzice. Z bieżącej kroniki TOPR. *We wtorek 12.06. (2012) o godz. 16-tej do TOPR zadzwonił turysta z informacją, że wraz z żoną i ze swoimi dziećmi (3 i 5 lat) znajdują się na Jarząbczym Wierchu. Dzieci są zmęczone i oni nie zdążą przed zmrokiem dotrzeć do schroniska. Proszą o pomoc. W tamten rejon wystartował śmigłowiec. Ze względu na zalegające chmury ratownikom udało się dolecieć tylko w rejon Czubika. Po desancie ratownicy doszli do turystów, sprowadzili ich w miejsce, gdzie mógł dolecieć i przyziemić śmigłowiec. Po wejściu na pokład zostali oni przewiezieni do Zakopanego.*

No i co Wy na to, drodzy Czytelnicy? Mądre to było? Rozumiem górskie i turystyczne zainteresowania, pasje, aktywność i co tam jeszcze, sam jestem zarażony „górozą”*, ale chyba nie wszystko rozumiem. Nie chodzi o wysokość Jarząbczego, Everest to nie jest. Wiek małych zdobywców gór też nie jest niczym powalającym, ale sam pomysł wędrowki na ten szczyt z 3- i 5-latkami wart jest przemyślenia. No właśnie, czy rodzice tych dzieci na pewno przemyśleli plan tej wyprawy, bo dla takich dzieci to jest WYPRAWA, choćby byli sprawnymi łażnikami. Dla dorosłego turysty wypad na ten szczyt to spory wysiłek, wszak trzeba pokonać spore różnice wysokości i spore odległości, obojętnie skąd się wychodzi i dokąd się wraca. Najkrótsze dojście na szczyt ze schroniska w Chochołowskiej przez Dolinę Jarząbczą i Trzydniowiański Wierch to min. 3,5 godz., bez przystanków na odpoczynek. Z tegoż schroniska przez Dol. Wyżnią Chochołowską i Wołowiec to 4,5 godz., podobnie ze schroniska przez Grześ i Wołowiec albo ze schroniska na Ornaku przez Starorobociański. Policzmy sobie to wszystko choćby w wariacie minimalnym. Sprawny, dorosły turysta czy nastolatek potrzebuje min. 7 godz. czystego marszu, by wejść na Jarząbczy i wrócić do schroniska. A gdzie postoje, gdzie dłuższy odpoczynek niezbędny na takiej trasie? Trzeba doliczyć kolejną godzinę. Daje to wszystko razem 8 godz. Założywszy wyjście ok. godz. 9, powrót można przewidzieć na godz. 17, ale jest to czysta teoria. W praktyce może to być około osiemnastej. To w przypadku sprawnego, rozchodzonego, odpowiednio umotywowanego i zaaklimatyzowanego turysty. Jak to wygląda w przypadku wędrowki z dziećmi? Krótko mówiąc, wszystkie czasy należy pomnożyć razy dwa, niezależnie od tego, w jakich górach wędrujemy. Zatem na taką wyprawę potrzeba 16 godz.! To też teoretycznie, ale prosta matematyka jest bezlitosna.

Bohaterowie z informacji TOPR poprosili o pomoc o godz. 16 będąc na Jarząbczym Wierchu. No i wszystko się zgadza. Nie wiem, co prawda, o której godzinie



Skalne atrakcje na Luboniu Wielkim

* góroza – zespół zachowań przejawiających się nieustanną chęcią wędrowania po górach,
cykloza – zespół zachowań przejawiających się nieustannym używaniem roweru,
kajakozja – jak wyżej, tylko chodzi o kajak.

wyszli ze schroniska (jeśli ze schroniska, no bo skąd), ale przyjąwszy takie miejsce i czas startu (godz. 9) oraz wyliczony powyżej czas przejścia, to wszystko się zgadza. Szli ok. 7 godz. (3,5x2) bez szansy powrotu o własnych siłach i o przyzwyczajonej porze. Nie wiem, jak rodzice motywowali te dzieci do tak wyczerpującego wysiłku i mimo sporego doświadczenia w chodzeniu z moimi chłopcami po górach nie mogę sobie tego wyobrazić. No właśnie. Wyobraźnia może być dobrym doradcą w uprawianiu turystyki, wszelkiej, nie tylko górskiej. Na takiej trasie, która nie wie gdzie od schroniska do schroniska tylko z powrotem do punktu wyjścia, trzeba kontrolować sytuację, wiedzieć, w jakim miejscu się znajdujemy i jak się to ma do porę dnia, do czasu. Nie mogę sobie wyobrazić, że takiej kontroli nie było podczas omawianej wycieczki. Przecież widać, jakie jest tempo i porównując z mapą, z terenem widać, czy cel może być osiągnięty, czy jest możliwy normalny powrót. Jarząbczy Wierch to nie jest odpowiedni cel dla 3-latka czy 5-latka. Po prostu jest za daleko. To widać nawet po chwili popatrzenia na mapę. Tu nie trzeba sztabu fachowców od czytania mapy, wystarczy chwila zastanowienia się. Nawet jeżeli przeczytamy gdzieś, że czas przejścia wynosi 3, 4, czy 5 godz., to trzeba wziąć poprawkę na możliwości dziecka. Przypominam: czasy podawane na mapach i na drogowskazach turystycznych oznaczają czas czystego marszu bez odpoczynków w dobrych warunkach, dla sprawnego turysty. Nie chcę oceniać rodziców 3- i 5-latka, którzy zafundowali swoim dzieciom darmowy przelot helikopterem TOPR, niech ich przygoda będzie ostrzeżeniem dla innych.



W Beskidach nie brak ciekawych miejsc – jaskinia Zimna

Moje dzieci zacząłem zabierać w góry, jak tylko opanowały tę wspaniałą sztukę chodzenia. Zanim to nastąpiło (wyjazdy w góry), chodziliśmy na spacerki począwszy od półgodzinnych do dwu-, trzygodzinnych. Dokładnie obserwowałem chłopców kontrolując dystans, który przebyli i w jakim czasie. Obserwowałem wszelkie zachowania, chwile znużenia, słabości, jakieś kaprysy, wszystko pod kątem przyszłych wyjazdów w góry. Sprawdzałem różne formy motywowania do marszu, nigdy nie forsowałem tempa. Po kilkunastu takich spacerkach-wycieczkach wiedziałem, na co mogą liczyć, na co stać moich chłopców. Zaczęliśmy od kilkunastodniowych pobytów w stałej bazie – schronisku, gospodarstwie agroturystycznym, pensjonacie. Wycieczki były „na lekko”, a celem było jakieś schronisko albo góra, po czym powrót do bazy. Gdy młodszy miał 5,5 roku, a starszy 8,5, zaczęliśmy wędrować od schroniska do schroniska, a wyprawy trwały 7-8 dni. Ostatnie, ubiegłoroczne liczyły już 10 dni. Schemat takiej wyprawy to: przyjazd w góry i dojście do pierwszego schroniska nie dłuższe niż 2,5-3 godz., czyli przewodnikowe 1,5-2. Potem dwa dni wędrówki między schroniskami, po czym dwudniowy pobyt w jakimś schronisku. Drugiego dnia pobytu krótka wycieczka na lekko, połączona zwykle ze zbieraniem jagód, borówek i malin. Wieczorem „wielkie jagodowe żarcie” w zaciszu schroniska. Po takim dniu odpoczynkowym czy, jak kto woli, „kondycyjnym”, następują kolejne dwa dni wędrówki od schroniska do schroniska. Taki tryb wyprawy sprawdza się znakomicie. Nie ma nadmiernego zmęczenia, znużenia, a jagodowe przerwy uzupełniają dość monotonne turystyczne menu. W ten sposób przemierzaliśmy Beskid Sądecki od Szczawnika do Szczawnicy, Beskid Śląski od Zwardonia do Bielska-Białej (pisałem już szczegółowo o tej wyprawie), Beskid Wyspowy i Gorce od Rabki Żarytego do Krościenka. Trasę planuję tak, aby na wypadek załamania pogody nie utknąć na dobre w jakimś miejscu, choć, rzecz jasna, wszystkiego przewidzieć się nie da. Chodzi o to, aby mieć jakąś alternatywę. Jeśli warunki terenowe, np. po ulewach, drastycznie się pogorszą, warto mieć

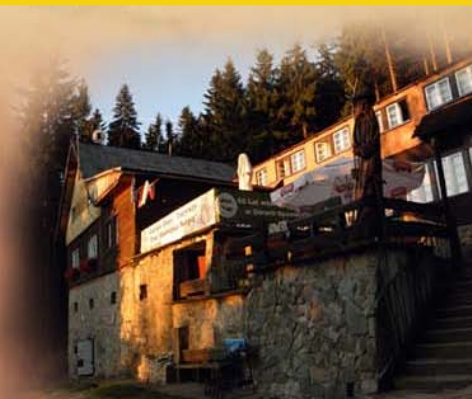
zaplanowany jakiś alternatywny odcinek trasy łatwiejszym czy krótszym szlakiem tak, aby móc przemieszczać się dalej. Takie planowanie, czyli z „wariantem B”, umożliwia także wędrowkę w przypadku, gdy po drodze jest weekend, a z nim zwiększony ruch w górach i tłok w schroniskach. W tygodniu zwykle nie ma problemu z miejscami noclegowymi. Nie rezerwuję noclegów zawczasu, jednak dwa dni przed planowaną wizytą w jakimś schronisku telefonuję tam, by rozpoznać sytuację i ewentualnie wtedy poprosić o rezerwację. Bywają takie weekendy, kiedy mowy nie ma o wygodnym noclegu, wtedy sięgam po „plan B”, który przewiduje zastępcze odcinki trasy. Można weekendowy tłok przeczekać w schronisku, w którym znajdujemy się aktualnie i zrobić wycieczkę „na lekko”, kolejnego dnia zmienić trasę, a dopiero dzień lub dwa później ruszyć do głównego celu. Przeważnie tłoczno bywa z piątku na sobotę i z soboty na niedzielę. W niedzielne popołudnia schroniska pustoszeją i można śmiało iść tam, gdzie się to zaplanowało. To ważne w przypadku wędrowki z dziećmi. Chodzi o to, aby nie narażać ich na niepotrzebny stres, który może zniechęcić do uprawiania turystyki.

Dla sytuacji, by dzieciaki były w odpowiedniej formie i nie traciły kontaktu z „terenem”, warto kilka razy w ciągu roku szkolnego, w soboty czy niedziele, wyskoczyć za miasto na parę godzin. Są tacy, którym się to udaje nawet co tydzień lub dwa, ale jeśli nie mamy tyle czasu, to choćby parę razy. Dzieci mają to do siebie, że rosną, szczególnie ich stopy, dlatego takie wycieczki pozwalają sprawdzić, czy buty turystyczne używane w minione wakacje jeszcze się nadają na nadchodzące. Głupio jest twierdzić tuż przed wyjazdem, że są za ciasne i trzeba gnać do sklepu, a pewności, że się coś odpowiednio kupi, nie ma. To samo dotyczy innych elementów ubioru.

Tak to przygoda zdobywców Jarząbczego posłużyła do przemyślenia paru praktycznych uwag dotyczących turystyki górskiej z dziećmi. Wędrowanie z nimi to naprawdę fajna rzecz dla kogoś, kto całe życie chodził po górach i nie wyobraża sobie innego sposobu spędzania urlopu. Jednak trzeba podejść do takiej wyprawy nieco inaczej, trzeba mierzyć wyprawę miarą dzieci, a nie swoją. Zapewniam, że wędrowka z dziećmi po niższych górach daje równie dużo satysfakcji, co po wysokich, a jest dużo bezpieczniejsza i dla dzieci właściwa.

Juliusz Wystouch

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Górski Dom Turysty „Pod Biskupią Kopą” jest jedynym takim obiektem na Opolszczyźnie, umiejscowionym na zboczu najwyższej góry w regionie.

Na szczycie znajduje się murowana wieża widokowa.

- Dysponujemy:
 - bazą noclegową na 50 miejsc;
 - salą restauracyjną z barem i kominkiem;
 - salą konferencyjną – świetlicą;
 - grillem i miejscem na ognisko.
- Oferujemy:
 - smaczną domową kuchnię;
 - organizację imprez sylwestrowych, karnawałowych, walentynkowych itp.;
 - pobyty wypoczynkowe;
 - obsługę grup zorganizowanych.

Szczególną ofertę kierujemy do szkół w zakresie organizacji zajęć edukacji ekologicznej dla dzieci i młodzieży.

Biuletyn nr 2 PKK

Ukazał się nr 2 *Biuletynu Podkomisji Kolekcjonerstwa Krajoznawczego*. Kolportowany był podczas XLII Czaku w Sosnowcu. Podobnie jak Biuletyn nr 1 wydany został na kredowym papierze z kolorowymi rycinami. Stanowi nową jakość w tematyce kolekcjonerskiej. A czego można się z biuletynu dowiedzieć? Np. ze słowa wstępnego Józefa Partyki – przewodniczącego Komisji Krajoznawczej ZG PTTK o definicji kolekcjonerstwa oraz powodach reaktywowania podkomisji.

Kolekcjonerstwo – świadome gromadzenie różnych przedmiotów o ustalonej wartości merytorycznej, topograficznej, chronologicznej – jak podaje definicja tej formy ludzkich zainteresowań, jest piękną pasją odkrywania, wybierania i gromadzenia różnych przedmiotów, obrazów, rzeczy rzadkich i osobliwych, jest energią twórczą wiążącą się z działalnością społeczną. Początki tej formy ludzkiej aktywności są bardzo odległe. Trwają bowiem od dawna jak tylko rozwinął się w człowieku zmysł poczucia piękna i możliwości dokonywania wyboru dla niego rzeczy wyjątkowych niezależnie od ich materialnej wartości. Kolekcjoner gromadzi zbiory, które po nim pozostaną dla następnych pokoleń.

Mamy również w naszym Towarzystwie wybitnych kolekcjonerów, którzy zostawiają trwałe ślady swych zainteresowań krajoznawczych. Dobrze się więc stało, że po dłuższej przerwie przy Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego PTTK została reaktywowana Podkomisja Kolekcjonerstwa Krajoznawczego skupiająca ludzi osobliwych, „zarażonych” bakcylem zbierania różnych materiałów, przedmiotów, odznak, map, przewodników wiążących się z szeroko pojętym krajoznawstwem.

Oby nasi kolekcjonerzy mieli częściej okazję pokazywania swych zbiorów na Centralnych Złotach Krajoznawców CZAK, do czego nie zawsze organizatorzy tych imprez tworzą potrzebne warunki w formie rezerwacji odpowiedniego lokalu czy gablot. Drugi numer biuletynu kolekcjonerskiego jaki ukazuje się na 42. CZAK organizowany w Sosnowcu świadczy o żywotności i trwałości tej strony polskiego krajoznawstwa. Mimo nielicznej grupy naszych kolekcjonerów, zostaje udokumentowana forma ich pasji i zainteresowań, przywołana pamięć o tych co już odeszli z naszego grona. Miejmy nadzieję, że odrodzona Podkomisja Kolekcjonerstwa Krajoznawczego – mimo różnych pojawiających się trudności – będzie trwałym ogniwem w strukturze organizacyjnej PTTK i kontynuatorem długoletnich kolekcjonerskich tradycji chroniąc w swych zbiorach tożsamość naszego Towarzystwa i jego niekwestionowane zasługi wobec ludzi, społeczeństwa, czasu i historii.

Natomiast Tadeusz Sobieszek, jeden z twórców działalności kolekcjonerskiej w PTTK, apeluje o wypracowanie takich form i metod działania, ażeby realizować przesłanie VI Kongresu Krajoznawstwa Polskiego oraz statutu PTTK w zakresie kolekcjonerstwa krajoznawczego.

VI Kongres Krajoznawstwa Polskiego odbył się w Olsztynie w 2010 r. pod hasłem „POLSKA W EUROPEJSKIEJ RODZINIE, PRZENIKANIE KULTUR, IDEI, WARTOŚCI, POWINNOŚCI KRAJOZNAWCÓW”. Celem Kongresu było ukazanie silnych tysiącletnich więzi naszego kraju z cywilizacją europejską, mimo barier politycznych rozdzielających nasz kontynent jak również próba określenia nowej sytuacji krajoznawstwa w jednoczącej się Europie. W przesłaniach VI Kongresu zawarte są m.in. oceny i wskazania dla polskiego krajoznawstwa na najbliższe dziesięciolecie a więc i kolekcjonerstwa krajoznawczego:

„Krajoznawstwo to proces edukacji społecznej, źródło humanizacji społeczeństwa, budzenie wrażliwości i poczucia odpowiedzialności wobec środowiska przyrodniczego oraz szacunek dla pamiątek i przeszłości.

Szczególną uwagę w pracy krajoznawczej należy poświęcić dzieciom i młodzieży. W dorosłym życiu istotne miejsce zajmują krajobrazy lat dziecięcych i młodzieńczych. To wówczas kształtuje pierwsze poczucie patriotyzmu i tożsamości kulturowej, dlatego też wspieramy wszelkie działania mające na celu rozwiązanie zainteresowań turystyką i krajoznawstwem w polskich rodzinach i szkołach”.

Istnienie regionów jest faktem bezspornym. Każde miejsce, region posiada cechy decydujące o jego niepowtarzalnym charakterze, krajobrazie, o jego mieszkańcach. To jest dziedzictwo kulturowe w regionie. Region stanowi świat wartości, który sprzyja wychowaniu dzieci i młodzieży, a także niejednokrotnie i dorosłych. To w regionie te wartości są wytwarzane, przechowywane i przetwarzane.

Ogromną rolę w tej dziedzinie może i powinno odgrywać krajoznawstwo a szczególnie w specyficznych formach kolekcjonerstwo krajoznawcze; co jest jednym z podstawowych statutowych celów działania PTTK.

W dobie intensywnych procesów globalizacji społecznej i kulturowej oraz integracji państw Unii Europejskiej sprawa ochrony i poszanowania tożsamości narodowej, regionalnej i lokalnej urasta do priorytetowych zadań państwa. W realizacji tych zadań nie powinno zabraknąć PTTK a zwłaszcza krajoznawstwa.

Sprawa poszanowania rodzinnej kultury, tradycji, języka, symboli narodowych, regionalnych, lokalnych i innych powinna być jednym z najważniejszych działań krajoznawczych w tym kolekcjonerstwa.

Działania kolekcjonerów krajoznawców a zwłaszcza ich liderów, instruktorów krajoznawstwa, powinny być ukierunkowane na określenie kulturotwórczej roli kolekcjonerstwa w szerokim tego słowa znaczeniu.

Należy włączyć młode pokolenie do ochrony i ocalenia pamiątek kultury materialnej poprzez zbieractwo, kolekcjonerstwo, opracowywanie zbiorów, pogłębienie wiedzy na ich temat oraz popularyzowanie we właściwy obecnym czasom atrakcyjny sposób.

Jak to zrobić? To jest jedno z najważniejszych i pilnych wyzwań dla kolekcjonerstwa krajoznawczego, jego liderów, instruktorów krajoznawstwa, Komisji Krajoznawczej ZG oraz władz PTTK. Starajmy się wspólnie wypracować formy i metody działań, ażeby realizować przesłanie VI Kongresu Krajoznawstwa Polskiego oraz statutu PTTK w zakresie kolekcjonerstwa krajoznawczego.

W biuletynie PKK jest zamieszczony także Regulamin Podkomisji Kolekcjonerstwa Krajoznawczego, wspomnienie o Adamie Czarnowskim napisane przez Wojciecha Kowalskiego, który rozważa także o przyczynach zanikania wystaw kolekcjonerskich na Centralnych Złotach Krajoznawców. Ponadto zamieszczone są krótkie opisy wydanych w ostatnim czasie książek o tematyce kolekcjonerskiej, kolorowe wizerunki odznak z wystaw i ogólnopolskich sesjach kolekcjonerskich, a nawet wiersz o tematyce kolekcjonerskiej.

H. P.

Jezioro Otmuchowskie położone jest na Pogórzu Sudeckim, niedaleko pasma Gór Opawskich. Jest to niezwykle malowniczy zakątek Polski.

- Na terenie ośrodka znajdują się:
 - pawilon noclegowy;
 - domki campingowe;
 - domki typu mobile-home;
 - pole namiotowe;
 - stanowiska dla przyczep campingowych;
 - kawiarnia i restauracja;
 - pawilon sanitarny;
 - plac zabaw dla dzieci;
 - salon gier;
 - wypożyczalnia sprzętu wodnego;
 - miejsce na ognisko;
 - plaża;
 - parking.

W weekendy na terenie ośrodka odbywają się zabawy taneczne.



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Reprint orłowiczowski

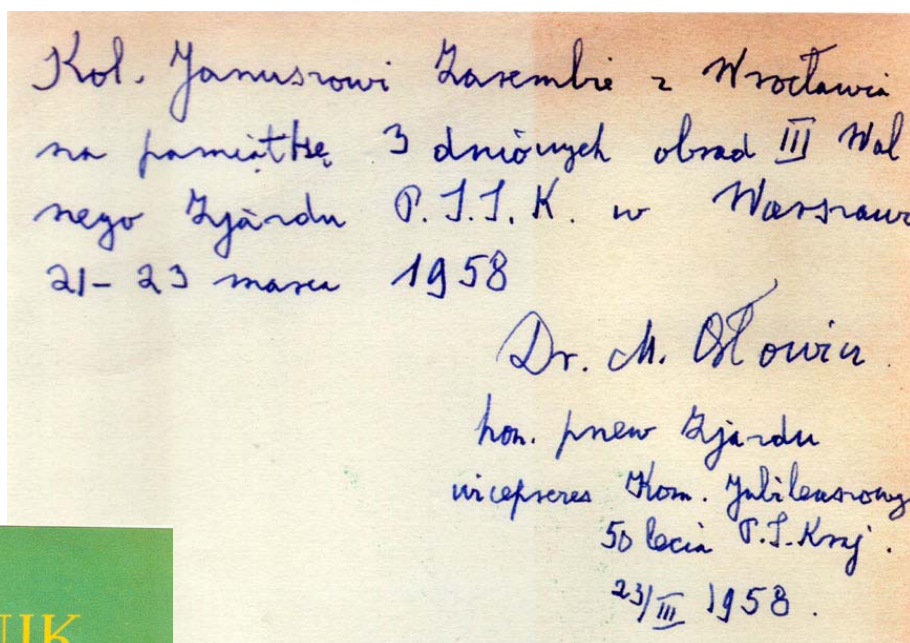
Ukazał się „Ilustrowany przewodnik turystyczny po Mazurach Pruskich i Warmii Mieczysława Orłowicza w ujęciu współczesnym. Reprint i nowe opisy wybranych miejscowości”. Nie zachęcam Czytelników do jego zakupu, bo jest nie do nabycia, ponieważ jako „Projekt dofinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Warmia i Mazury na lata 2007-2013” nie może być przedmiotem handlu. Zachęcam natomiast, aby starać się uzyskać egzemplarz z dwóch źródeł:

1. Starostwo Powiatowe w Braniewie 14-500, pl. Piłsudskiego 2,

2. U wydawcy: Stowarzyszenie Dom Warmiński 11-100 Lidzbark Warmiński, ul. Wyszyńskiego 37.

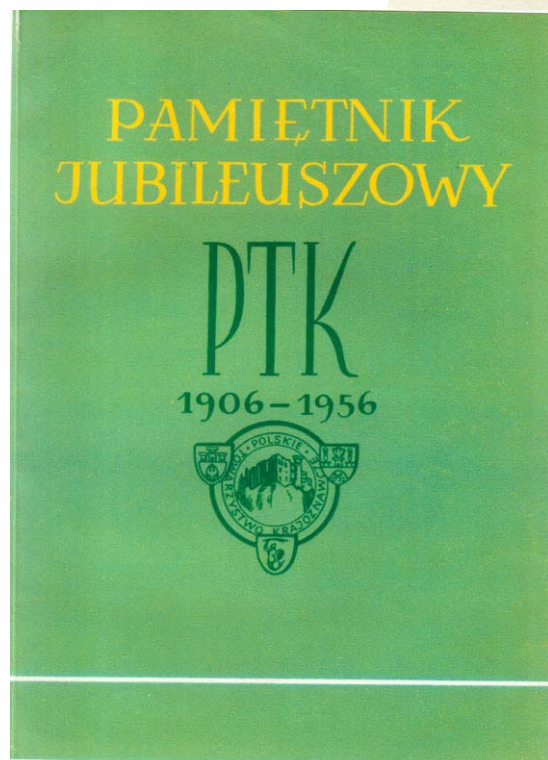
Publikacja, ponieważ jest to reprint, jest artystycznie wręcz wydana w formacie 16,5 x 11,5 cm, w twardej oprawie, oddając fotograficznie styl i ducha polskich wydawnictw z dwudziestolecia międzywojennego. Bibliofilskie wydanie!

Osobny akapit należy poświęcić autorowi przewodnika, który sam tak się



Dedycja M. Orłowicza dla autora

przedstawia czytelnikowi: „Dr Mieczysław Orłowicz st. referent dla spraw turystyki w Min. Robót Publicznych. Ilustrowany Przewodnik po Mazurach Pruskich i Warmii z 85 ilustracjami w tekście.” Jakże archaicznie brzmi taka prezentacja dzisiaj, po 90 latach. Sam Orłowicz nie był jednak wcale archaiczny, przeciwnie, przez całe życie był czynny zawodowo i społecznie. Do ostatnich swoich chwil czynnie uprawiał turystykę, szczególnie pieszą. Pokonał łącznie pieszo 140 tys. km. Zorganizował i poprowadził niezliczoną liczbę wycieczek, wędrówek, zlotów, rajdów i innych imprez turystyczno-krajoznawczych. Był członkiem rzeczywistym i honorowym PTTK, w którego w władzach naczelnych zasiadał. Piszący te słowa miał okazję uczestniczyć i rozmawiać z nim podczas Walnego Zjazdu PTTK w 1958 r. w Warszawie, któremu przewodniczył jako przewodniczący honorowy Mieczysław Orłowicz. Uzyskałem wtedy jego dedykację na drugiej stronie



Okładka wydawnictwa jubileuszowego PTKraj. z 1958 r.

ILUSTROWANY PRZEWODNIK
PO
MAZURACH PRUSKICH
I WARMII

Z 66 ILL. STRACJAMI W TEKście



KSIĄŻNICA POLSKA
TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH
LWÓW - WARSZAWA
MCMXXIII

Strona tytułowa oryginału z 1923 r.

i artystyczne.” „Wobec braku w języku polskim monografii Mazur i Warmii, książka ta częściowo uzupełnia tę lukę, dając w części ogólnej wiadomości geograficzne, statystyczne, etnograficzne i historyczne dotyczące tych ziem, oraz zarys rozwoju ich zabytków artystycznych. Właściwym przewodnikiem jest część szczegółowa.”

Publikacja „...o Mazurach Pruskich i Warmii” jest, jak każdy reprint, edytorsko skomplikowana i składa się z kilku świadomie wyodrębnionych części: podwójny tytuł: staroświecki, z 1923 r. i współczesny, „wstęp” od wydawcy i „Słowo od autora”, część stanowiąca reprint zawiera „Część ogólną” (stron 34), i „część szczegółową” (stron 235), alfabetyczny indeks miejscowości i geograficzny.

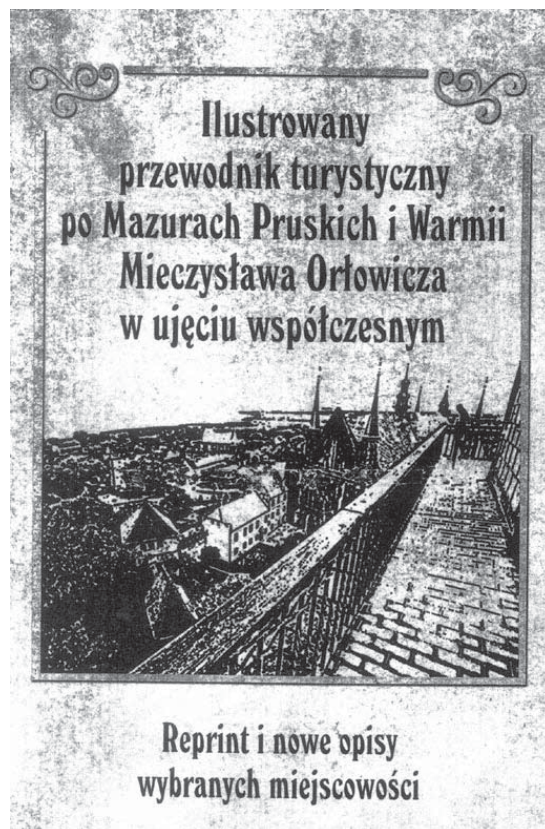
Ta część zawiera również oryginalne, czarnobiałe fotografie, a wśród nich obiekty i widoki już dziś nieistniejące.

Część II, zatytułowaną „Warmia i Mazury współcześnie” (stron 78), rozpoczyna krótka przedmowa Starosty Braniewskiego Krzysztofa Kowalskiego, który nazywa dra Orłowicza „człowiekiem dalekowzrocznej wizji” i przywołuje innego autora: T. Kowalika z „Życiem dla turystyki, krajoznawstwa i sportu”. W tej części mamy (szkoda, że nie w kolejności alfabetycznej) współczesne i aktualne opisy następujących miejscowości (oraz barwne fotografie): Frombork, Braniewo, Nowa Pasłęka, Płoskinia, Pieńiężno, Łajsy, Lelkowo, Orneta, Wilczęta, Lidzbark Warmiński, Głotowo, Jonkowo, Ostróda, Olsztynek, Mikołajki, Mrągowo, Giżycko, Gołdap.

Na koniec należy podkreślić, że jest to już druga reedycja tej książki, pierwszej dokonało wydawnictwo

okładki wydanego właśnie wtedy „Pamiętnika Jubileuszowego w 50 rocznicę założenia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego”. Bardzo ciekawa jest historia tej publikacji. Została napisana podczas podróży autora po Warmii i Mazurach w 1913 r., a więc w czasach, kiedy nie było jeszcze Polski na mapie Europy. Wydana została po raz pierwszy we Lwowie w 1923 r., a więc już w Niepodległej Polsce. Autor musiał odczekać okres I wojny światowej i zarządzony po niej plebiscyt na Warmii i Mazurach. Przewodnik ukazywał społeczeństwu dwudziestolecia międzywojennego obszar zupełnie mu nieznany, leżący poza granicami państwa, a zamieszkały przez ludność narodowościowo i językowo zbliżoną.

Sam Orłowicz w „Słowie od autora” tak nakreśla zasięg przewodnika: „Terytorialnie obszar objęty tym przewodnikiem jest znacznie większy niż obszar plebiscytowy. Sięga on po linię Reszel – Rastembork – Węgorbork – Gołdap, obejmując okolice niegdyś mazurskie, dziś już zgermanizowane i plebiscytem nieobjęte, których wciągnięcie w ramy przewodnika było jednak wskazane ze względów uzupełnienia geograficznej i historycznej jedności. Warmię objąłem w całości, aż po morze ze względu na liczne polskie pamiątki historyczne



Strona tytułowa reprintsu z 2011 r.

REMDC z Gdańska w 1991 r. Najnowsza edycja wydana została w 2011 r. przez Powiat Braniewski. Zawiera ona reprint przewodnika z 1923 r., dokonany na podstawie oryginału z biblioteki Uniwersytetu Gdańskiego oraz część drugą – współczesne opisy wybranych miejscowości Warmii i Mazur. Autor – Mieczysław Orłowicz (1881-1959), przez wiele lat życia związany był z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym, od 1950 r. z Polskim Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym. W roku przyszłym przypada 100. rocznica podróży autora na Warmię i Mazury oraz 90. rocznica wydania tego przewodnika. *

* Specjalnie dla Czytelników „Na Szlaku” chciałbym przypomnieć, że Główny Szlak Sudecki, od Świeradowa-Zdroju do Paczkowa nosi imię Mieczysława Orłowicza.

Janusz Zaremba

Przewodnik archeologiczny po Polsce

Taki tytuł nosi imponująca wymiarami (25 cm) i objętością (704 str.) książka, wydana w Warszawie w 2011 r. przez Wydawnictwo „Arkady”. Ma czterech autorów: jednego historyka (Robert Sypek) i trzech archeologów (Agnieszka Malinowska-Sypek, Daniel Sukniewicz i Wojciech Brzeziński). Od wydania dwóch poprzednich przewodników archeologicznych po Polsce minęło prawie pół wieku, ale to niemal cała epoka, zarówno jeśli chodzi o poligrafię, jak i o nowe, często rewelacyjne odkrycia archeologiczne.

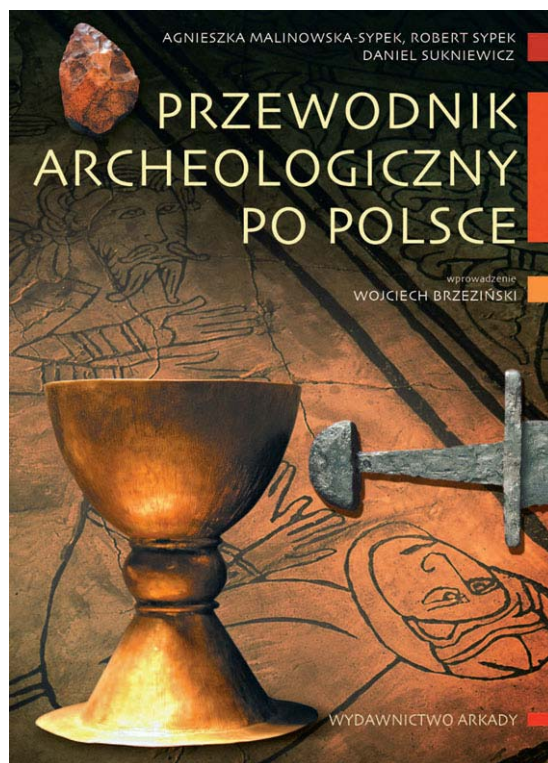
Książkę oceniam bardzo wysoko tak pod względem treści, jak i genialnych ilustracji. Ma jednak pewne wady. Przede wszystkim jej wymiary i ciężar (około 2 kg) powodują, że nie da się jej wziąć np. do plecaka. Przed wyruszeniem na wycieczkę trzeba zatem skserować lub zeskanować interesujące nas strony, co jest pewnym kłopotem. Przewodnik opisuje grodziska, cmentarzyska, kurhany, pogańskie rzeźby, muzea archeologiczne, prehistoryczne zagłębienia przemysłowe itd. Opisuje jednak również zabytki architektury romańskiej i romańskie dzieła sztuki sakralnej, a nawet monety z XVII w. czy też szkielet mamuta.

Książkę podzielono na rozdziały zgodnie z układem wojewódzkim. Nie pominięto żadnego ważniejszego obiektu archeologicznego. Jeśli nawet na pierwszy rzut oka wydaje się, że czegoś nie umieszczono, to dzięki skorowidzowi możemy to odnaleźć, np. przy opisie sąsiedniej miejscowości. Dla zilustrowania wymienię rozdziały dotyczące woj. dolnośląskiego.

Opisane są Będkowice (gród i cmentarzysko kurhanowe), Gilów (gród z kamiennym murem), Głogów (muzeum i relikty romańskiego kościoła), Gromnik (pozostałości romańskiego kościoła), Jelenia Góra (grody, siedziby rycerskie, średniowieczni szklarze i poszukiwacze złota), Karpacz (kościół Wang), Kochanów koło Krzeszowa (stół sędziowski z XIII w.), Legnica (pozostałości romańskiej kaplicy), Lubin (gród), Ślęza, Trzebnica – Winna Góra (najstarsze ślady pobytu człowieka w Polsce), Więszyce (gród), Wleń (zamek), Wrocław (w długim rozdziale omówiono wiele obiektów) i szlak archeologiczny na Górnych Łużycach (tereny pomiędzy Bogatynią a Zgorzelcem).

Jak widać, dobór haseł jest dyskusyjny, bo np. kościół Wang w Karpaczu trudno zaliczyć do obiektów archeologicznych. Nie umniejsza to faktu, że na pewno warto sięgnąć po „Przewodnik archeologiczny po Polsce”.

Przemysław Pilich



Od piwa głowa turysty czasem się kiwa

HOP, SZKLANKA PIWA DLA KRAJOZNAWCÓW

Od zarania turystyce i krajoznawstwu towarzyszył złoty, pieniaący się malowniczo napój – piwo. Tak było w zamierzchłej starożytności, tak jest dziś na całym świecie. Nie wszędzie kufle czy szklanki opróżniane są z umiarem. Niejedna impreza, także pod zbożnymi i patriotycznym hasłami, utrwaliła się w pamięci (trzeźwych i „nawalonych”) uczestników jako popijawa, piwożłopstwo, balanga na wolnym powietrzu oraz wyrazy dziękczynienia od uczestników dla organizatorów. Zwłaszcza za zapewnienie bezmiernej obfitości piwa lanego z beczek do mniejszych pojemników. Piwo uświetnia, a może także uświęca rajdy, złazy, zloty, rejsy, spływy, festyny, a po ich zakończeniu rozdania nagród i wręczanie dyplomów, za trud wędrowania w dni słotne, upalne, deszczowe i mgliste.

Piwo przyczynia się do pomyślnego przebiegu (i zakończenia) takich imprez, jak konferencje, narady, sympozja, narady aktywu wielu dyscyplin turystyki kwalifikowanej, jubileusze oraz modne poświęcenie nowych inwestycji. Świętują i obradują nie tylko działacze, ale i wielce zasłużone oddziały i kluby spod znaku PTTK i jego poprzedników. Nie warto wspominać tutaj klasycznych popijaw piwnych (i nie tylko) w formie znanej jako tzw. ewenty integracyjne. Więc nie ma sprawy. Nie ma??? A może jednak jest „coś na rzeczy”. Wiadomo, że jak kraj długi i szeroki, a sezon – obfitujący w setki imprez krajoznawczych i turystycznych – trwa właściwie cały rok. Jakoś tak się utarło, że piwo najczęściej rozlewane jest do spożywania imprezowiczom do naczyń z tworzyw sztucznych. Ohyda!!!

Rozrywka dostarczona uczestnikom nie musi być najwyższej jakości, ważne, żeby ją dać w ilości koniecznej dla wytworzenia odpowiedniego nastroju oraz rozrywki uczestnikom. Liczne imprezy w każdym terenie, z reguły nazywanym regionem o wybitnych walorach turystycznych oraz krajoznawczych, dla pomnożenia ich popularności, nie mogą się odbywać bez piwa. I niech tak zostanie, jak było przed wiekami i jest obecnie. Co kraj to obyczaj.

W tomie *Moje wspomnienia turystyczne* Mieczysława Orłowicza jest opis wycieczki członków Akademickiego Klubu Turystycznego na przełomie lipca i sierpnia 1908 r. w Karkonoszach, na trasie od Szrenicy do Śnieżki. Znaczna część jego opowieści to wybrzydzenie na ówczesnie paskudny i dokuczliwy zwyczaj saksońskich turystów, którzy co kilkadziesiąt minut opróżniali „bomby piwa i zakąszali parówkami z musztardą”. A potem ryczeli, czyli śpiewali. Uczestnicy tej wędrówki, hartowani w trudach wędrówek po Karpatach Wschodnich, mieli żal do Orłowicza i prosili: *Mietku, po co żeś nas między tych filistrów przyprowadził, uciekajmy stąd jak najprędzej, bo tu można ogłuchnąć od pijackiego wrzasku*. Ten zwyczaj budził wstręt u karpaccich turystów przed ponad stuleciem nie tylko na sudeckich szlakach. Ale jest przecież wiadome, że obyczaje „turystów” nie uległy powszechnej zmianie na lepsze pomimo upływu dziesiątków lat. Mimo że lata minęły, czyli choć dawno, to prawda. Jest, jak jest, i takie obrazki będziemy mieli jeszcze długo nie tylko na wielu naszych turystycznych szlakach. Wypada tylko dziękować opatrności, że w naszych górach jeszcze nie ma kierunkowskazów, jak dawniej w Sudetach – *jeszcze 10 minut do najbliższego pilznera* – wspominał Orłowicz.

Już w sierpniu 1946 r. podczas pierwszej powojennej wycieczki prowadzonej w Sudetach („Wierchy” 1947 „640 kilometrów pieszo przez Sudety”) Orłowicz narzekał, że w niektórych nędznych wtedy schroniskach było tylko „piwo i śledzie”. Warto jednak przypomnieć, że piwo swego czasu pomogło temu luminarzowi polskiej turystyki poznać prawdziwy smak turystyki. Było to jesienią

1901 r. podczas jego pobytu w Wiedniu. Dzięki zaproszeniu czeskich rówieśników i pewnej sympatycznej pani, z ochotą – jak wspominał – przyjął jej zaproszenie do udziału w imprezie towarzyskiej. Czyli wycieczkę, ale w nieznanym mu stylu. Następnego dnia, po spożyciu podawanych do kotleta kilku kufli piwa, nie spóźnił się na wycieczkę, która była swoistą lekcją „jak się uprawia turystykę”. Minęły lata i z wielu wspomnień wiadomo, że nie przestał lubić piwo. Innymi słowy – przykład idzie nie tylko z góry, ale i z każdego boku. Wyrazem hołdu dla wielkości dla Henryka Sienkiewicza było wybudowane przez górali pienińskich w Szczawnicy schronisko zwanego Sienkiewiczówką, na lewym brzegu Dunajca, na tzw. Przechodach. W 1907 r. Sienkiewiczówka wraz z parcelą stała się własnością Oddziału Pienińskiego TT w Krościenku, było wtedy jednym z nielicznych, ale najpopularniejszych schronisk w Pieninach. Dziś śladu po budynku nie ma, ale Ryszard M. Remiszewski – staranny pieniński kronikarz i kustosz Ośrodka Kultury Górskiej w Szczawnicy – świadczy, że zachował się (jest cenna pamiątką w posiadaniu Ośrodka) tylko klucz od drzwi, oraz że wykopał na dawnym siedlisku schroniska skorupy porcelany stołowej i fragmenty szklanic do piwa z dawnego bufetu turystycznego sienkiewiczówki. Była jednym z ulubionych celów spacerów szczawnickich gości, nie tylko na herbatę i małe co nieco.

Wiele wydarzeń w historii naszych zacnych przodków – towarzystw Tatrzańskie i Krajoznawczego, ale oczywiście także PTTK, spadkobiercy ich obyczajów, tradycji i historii – nie odbywało się „na sucho”. Piwo było zawsze tam, gdzie byli turyści i krajoznawcy, pod tym względem historia ta jest bardzo bogata. Nic zatem dziwnego, że obecnie także schroniska PTTK mają w „ofercie dla konsumentów”, przemierzających górskie i nizinne szlaki, na łądzie i wodzie, w istocie niewyczerpane ilości piwa. Pod tym względem model kulturowy nie zmienia się od bodajże 140 lat, licząc tylko lata działalności wspomnianych towarzystw. Wstydu to nie przynosi, raczej należy brać pod uwagę korzyści fiskalne z tego wyszynku dla dzierżawców obiektów, a pośrednio i dla Towarzystwa, ale i dlatego PTTK nie jest pod tym względem „od macochy”.

Dlatego mam niewielki żal do autorów współczesnych przewodników, a nawet powszechnie znanego „Kanonu Krajoznawczego Polski”. W tej publikacji nie znalazły się liczne, słynące z ponad półtora wiekowej czy tylko nieco krótszej tradycji, polskie piwowarnie i browary, choćby w Żywcu, Okocimiu, Tychach, Łomży, Grybowie, Czarnkowie, Ciechanowie, Cieszynie, Elblągu, Białymstoku. Braki te poszukujący informacji może wszakże łatwo uzupełnić przeglądając odpowiednie strony internetowe. Weźmy dla przykładu niektóre schroniska górskie. Na Szczelińcu lokalne Biuro Turystyki Aktywnej PTTK proponuje nalewki, o piwie cisza. Hotel Górski PTTK na Kalatówkach, i owszem, „prowadzi” piwo. W nowiułkim schronisku na Markowych Szczawinach jest duży wybór – „słynne” grzane piwo oraz grzane wino z dodatkami. Nad Morskim Okiem – hulaj dusza, jest piwo i wino. Na Polanie Chochołowskiej – jest wódeczka. W Murowańcu – owszem, piwa w bród. Jakby tego było mało, Stanica PTTK Drawno organizuje nawet „święto piwa”, a potem w rejs lub na splot.

Jest więc w czym wybierać i bodajże na każdym szlaku, a w wielu schroniskach – na pewno, piwo jest jednym z ważniejszych towarów do spożycia podczas wędrowki krajoznawczej lub tylko turystycznej. Jakiś czas temu na stronach internetowych lokalnych aktualności pokazano „turystyczny folklor”, czyli wprost ze schodów prowadzących od schroniska nad Morskim Okiem do głazów na brzegu. Weseli panowie z wielkim szacunkiem trzymając pionową postawę na nierównych stopniach, nieśli po dwie plastikowe „szklanki” piwa. Moja ostrożna teza: połowa z co najmniej 10 tys. osób, przybywających dziennie nad to kultowe górskie jezioro, dociera tam wasągiem na piwo. Na trudzie koni wprzęgniętych w tę formę turystyki górskiej zarabiają woźnice, ale pośrednio też dzierżawcy prowadzący zabytkowe schronisko. W powszednie czy świąteczne dni bardzo osobliwego w tym miejscu sezonu „turystycznego” to nie jest schronisko, tylko „obficie zaopatrzone bufet”. Już słyszę te protesty, gdyby ktokolwiek domagał się likwidacji wyszynku piwa nad „perłą tatrzańską przyrody i krajobrazu”.

Cdn.
Tomasz Kowalik

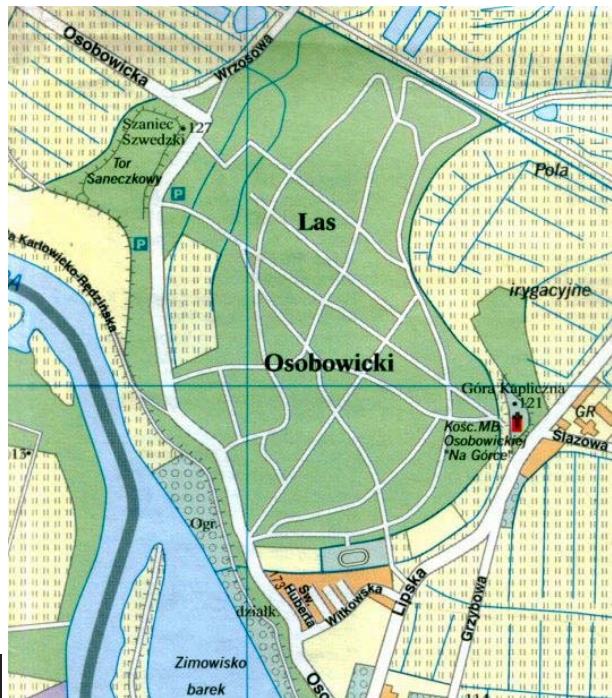
Tatry, Góra Kapliczna, Szaniec Szwedzki

Smutny początek

Ostatnio poruszyła mnie wiadomość o śmierci redaktora PAP w Warszawie (1970-1985) Józefa Szaniawskiego (ur. we Lwowie w 1944 r.), który we wtorek 4. września, schodząc ze Świnicy, na trawersie Niebieskiej Turni spadł w przepaść w kierunku Doliny Pięciu Stawów. „Zginął w miejscu, które kochał. Bardzo dobrze znał Tatry. Dwadzieścia minut przed śmiercią dzwonił ze szczytu Świnicy. Mówił, że chmury są poniżej, ale jest pięknie. (...) – mówi w rozmowie z „Naszym Dziennikiem” Filip Frąckowiak, syn profesora.” – (inf. internetowa). Profesor od 1973 r. intensywnie współpracował z Radiem Wolna Europa. Mnie zainteresował też swoją książką „Victoria Polska. Marszałek Piłsudski w obronie Europy”.

Ciekawy środek

W kwietniu tego roku pisałem w naszym e-magazynie o moim rozpoczęciu sezonu turystycznego ciężką wyprawą na Górę Kapliczną (121 m!). Zbliżył się koniec roku, a ja w tym czasie odbyłem dwa rajdy samochodowe i to jakie!! – karetkami pogotowia do szpitala. Czas więc najwyższy zdobyć – sąsiadujący ze wspomnianą Górą – Szaniec Szwedzki (niem. *Schwedenschanze*) o wysokości 127 m! Warto zwiedzić to historyczne miejsce, będące dawnym grodziskiem, zamieszkanym około 900-450 r. p.n.e. Legenda mówi o wojskach szwedzkich, które miały tu przebywać podczas wojny trzydziestoletniej (1618-1648). Od ponad stu lat Szaniec ten jest miejscem wycieczek wrocławian. W 1902 r. zbudowano tu piękną wieżę widokową im. Cesarza Wilhelma I o wysoko-



Plan Lasu Osobowickiego



Leśny park Osobowicki. Wieża widokowa cesarza Wilhelma I na Szańcach Szwedzkich. (ok. 1903 r.)

Wieża widokowa na Osobowicach – pocztówka ze zbiorów Piotra Gliszczyńskiego

ści 47 m, według projektu architekta Carla Klimma. W 1945 r. Niemcy ją zburzyli obawiając się, że gdy zajmą ją Rosjanie, może stanowić dobry punkt do kierowania ogniem na miasto będące wówczas twierdzą.

Wesoły koniec

C. Klimm był również autorem m.in. wieży ciśnień opodal szpitala im. T. Marciniaka przy ul. Wiśniowej, którą sfotografowałem podczas mego tam pobytu. Ma wysokość 62 m. Na wysokości 42 m jest galerijka widokowa. Widać z niej było odległą o 30 km Ślęzę, a nawet – przy dobrej widoczności – odległe o 100 km Karkonosze. Wieża zbudowana została w latach 1903-1904, zaś od 1906 r. była udostępniona do zwiedzania. Od końca lat 90. XX w., na podstawie projektu W. Bieniasza-Nicholsona,



przekształcono ją w kompleks restauracji o nazwie „Wieża Ciśnień”. Odbywają się tu rauty, wesela, konferencje, a 19.10.1978 r. została wpisana do rejestru zabytków (www.wiezacisnien.pl) i T. Kaletyn, *Wrocławskie Grodziska, Kalendarz Wrocławski* 1980.

Andrzej Rumiński

**Wieża ciśnien przy ul. Wiśniowej.
Fot. A. Rumiński**

GOŁOBORZE

Na Gołoborza piersi krzyż widnieje w dali,
I pięknie po imieniu nazywa pielgrzyma,
Kiedy zorzy rumieniec na niebie się pali,
Kiedy się radośnie modli Święta Katarzyna.

A jej wdzięcznym wezwaniom odpowiada Krajno,
Jodły zaś które miały prorockie widzenia,
Teraz się melodią pod Krzyż Zbawcy garną,
I czas chwilę przystanął pod krzyżem wśród cienia.

Nie będę myśli gubił w frazesów hołocie,
Nie zachwycę się brydżem, co innym myśl płacze,
A co dziś rozpocząłem - dziś jeszcze zakończę...

I będę jak samotny żuraw na odlocie,
Zatrzyma mnie pod krzyżem mego serca bicie,
I może znajdę spokój w natury zachwycie...

Ks. Józef Biela



Święty Krzyż. Fot. Piotr Dacko

Gołoborze na Łysicy. Fot. Piotr Dacko

I Igrzyska Turystyczne 111 – podsumowanie

W dniach 22 – 23 września w OW Czerwony Kozioł w Głuchołazach odbyły się I Igrzyska Turystyczne 111. Impreza jest związana z ustanowioną przez ośrodek w 2010 roku odznaką, popularyzującą atrakcje turystyczne pogranicza polsko – czeskiego w okolicach Gór Opawskich i Jesioników. Igrzyska zostały rozegrane w kategorii open. W sobotę 3 – 5 osobowe drużyny pokonywały trasę terenową (rowerzyści ok. 70 km, piechurzy prawie 30 km). Zespoły z dziećmi poniżej lat 12 zaliczały skrócony wariant trasy. Program Igrzysk obejmował także testy m.in. z krajoznawstwa, kuchni czeskiej i topografii, a także konkurs proporcey. Na zakończenie sobotnich zawodów w ośrodku odbyło się ognisko połączone z biesiadą turystyczną. W niedzielne przedpołudnie miała miejsce finałowa rozgrywka i uroczystość zakończenia zawodów. Pomimo nie najlepszych prognoz uczestnikom dopisała pogoda. Ostatecznie w zawodach, w których wzięło udział ponad 60 uczestników z 14 drużyn, wygrał zespół Bomba – Żabki z Głuchołaz, który w finale pokonał zespół Family Adams ze Kędzierzyna. Zwycięzcą konkursu proporcey została drużyna Olders Misiaki & Belfrowie z Warszawy. Igrzyska okazały się udanym pomysłem i będą kontynuowane w przyszłym roku.

* wyniki

www.na-szlaku.net

Nowa domena magazynu **NA SZLAKU**

oraz

nowe adresy e-mail zespołu redakcyjnego!

"NA SZLAKU" – magazyn turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.



Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Z-ca Sekretarza: **Alicja Jachimowicz**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna i opracowanie graficzne: **Piotr Dacko**

Webmaster: **Paweł Rumiński**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wysłouch**



Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. +48 71-343-03-44

Redakcja zastrzega sobie prawo adiestacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.